

April Harbringer

Tajemniczy pierścień

Przełożyła Barbara Taborska

1.

W rocznicę tragicznej śmierci narzeczonego Celia bezsennie przewracała się z boku na bok w swym staromodnym wysokim łóżku. Szalejący od trzech dni sztorm stopniowo cichł, a wraz z ciszą do domu na farmie powróciły wspomnienia — i łzy.

Celia zapaliła lampkę nocną i wstała. Żeby też szybko się rozwidniło! Podeszła do okna i utkwiała wzrok w morzu. Ciągle jeszcze było wzburzone, a grzebień fal lśnił w bladym świetle księżyca. Tego dnia, kiedy Gavin wypłynął w małej łodzi, morze było spokojne i gładkie. Wydawało się, iż nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa.

Właściwie Celia miała mu wtedy towarzyszyć, ale tego ranka wstała z silnym bólem głowy, została więc w domu. Później, kiedy już nie było wątpliwości, że Gavin nigdy nie wróci, zrozpaczona żałowała, że nie zginęła z nim razem. Wraz ze śmiercią Gavina życie straciło dla niej sens. Nie przestawała powtarzać sobie, że byłoby lepiej, gdyby leżała teraz na dnie morza, zamiast co dzień od nowa gryźć się i uskarżać na los.

Dopiero w ostatnich tygodniach przynajmniej na tyle przezwyciężyła ból, że już nie musiała obsesyjnie myśleć o stracie ukochanego. Łzy oschły, radość jednak nie powróciła. A dziś, w rocznicę jego śmierci, ledwo zabliznione rany otworzyły się na nowo.

Świtało, gdy Celia wreszcie zapadła w niespokojny sen. Słońce stało już wysoko, a ona dopiero otworzyła oczy.

Niebo po burzy lśniło błękitem, a na drzewie pod oknem śpiewał ptak. Poderwała się i spojrzała na zegar. Z przerażeniem stwierdziła, że spała za długo. Wujek Bert wydoił już pewnie krowy i jej czarno-białe ulubienice z pewnością czekały na karmę.

Szybko wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po leżące na krześle znoszone dżinsy i podkoszulek. Wystarczyło jej czasu, by ochlapać twarz zimną wodą, umyć zęby i przejechać szczotką po krótkich lokach.

Szerokimi schodami zbiegła na dół, zmierzając prosto do drzwi.

— Powoli, powoli — w ostatnim momencie cioci Meg udało się chwycić ją za ramię. — Wypij przynajmniej łyk herbaty. Wujkowi nic się nie stanie, jak raz nakarmi krowy.

— Ale już jest późno. Zaspałam — broniła się Celia.

— Wiem — Meg ze współczuciem spojrzała na swoją siostrzenicę. Aż za dobrze wiedziała, jak dziewczyna spędziła noc. — Usiądź, zrobię ci grzanekę.

Wypiwszy łyk gorącej herbaty Celia poczuła się zdecydowanie lepiej, a gdy jeszcze Meg podała jej gorącą grzanekę z masłem i marmoladą domowej roboty, uświadomiła sobie, że jest głodna.

Ciocia Meg krzątała się przygotowując obiad, a Celia w milczeniu rozglądała się po wielkiej, lecz przytulnej kuchni. Doskonale pamiętała, kiedy przerażona i zagubiona siedziała tu po raz pierwszy. Było to po śmierci jej rodziców. Zginęli w wypadku. Miała wtedy czternaście lat.

Wujostwo w sobie właściwy, czuły sposób pomogli jej przetrwać pierwsze ciężkie miesiące i od początku traktowali ją jak własną córkę. Celia była nieskończenie wdzięczna tym dwojgu starym ludziom, którzy bez zbędnych słów i gestów z taką miłością się nią zajęli.

Nagle jej spojrzenie padło na duży kredens, na którym stało zdjęcie Gavina. Natychmiast uczuła ból w sercu. Odsunęła talerz.

— Muszę wypędzić krowy — rzekła wstając. — Za długo stoją w oborze.

Wybiegła na rozświetlony świat i wciągnęła głęboko czyste morskie powietrze. Kiedyś w takie dni szła do obory wesoło nucąc. Ale te czasy należały już do przeszłości.

Gavina знаła zaledwie pięć miesięcy, zanim rozłączył ich bezsensowny wypadek. Wujek i ciotka wyłożyli w którymś momencie wszystkie oszczędności, aby mogła wyjechać na rok do Toronto. Uważali, że młoda dziewczyna powinna zobaczyć kawałek świata, poza tym tamtejsza szkoła miała ustaloną renomę.

Celia wybrała kurs dla sekretarek. Podczas świąt Bożego Narodzenia poznała Gavina Browna, młodego zapalnego nauczyciela nauk przyrodniczych. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Teraz, kiedy myślała o tamtych zimowych miesiącach, wydawały jej się snem. Każdą wolną chwilę spędzali razem. Jak dzieci brnęli w głębokim śniegu i obrzucali się śnieżkami, aby następnie paść sobie w ramiona.

Kiedy nadeszła wiosna, Gavin przyjechał na farmę. Ciocia Meg i wujek Bert przyjęli go z otwartymi ramionami. Dano na zapowiedzi, ustalono termin ślubu z proboszczem małego kościółka w sąsiedniej miejscowości — tak, nawet suknia ślubna z delikatnego białego tiulu wisiała w szafie.

A potem patrol brzegowy znalazł łódź. Płynęła do góry dnem, a po Gavinie nie było śladu.

— No cóż, prądy morskie są tu wyjątkowo niebezpieczne — mówili mężczyźni w zatroskaniu kręcąc głowami. — Trzeba być nie lada pływakiem, aby przy wzburzonym morzu wydostać się na ląd.

Skamieniała z przerażenia Celia wróciła do domu. Tylko tutaj, u dwojga starych ludzi, mogła szukać pociechy, a oni robili wszystko, by udało jej się pogodzić z losem.

Celia kochała farmę. Myśl o tym, że miałyby pracować w jakimś bezsensownym biurze wśród całkiem obcych ludzi, wydawała jej się odstręczająca, postanowiła więc pozostać w starym domu i pomagać wujostwu w gospodarstwie. Pracy było dość, a oni nie mogli sobie pozwolić na przyjęcie kogoś do pomocy. W ten sposób Celia pogrzebała się w samotności i uparcie przy tym obstawała.

Z westchnieniem otrząsnęła się z ponurych myśli i otworzyła wrota obory. Wujek już zdążył wypędzić krowy na pastwisko, mimo to poszła w przygrzewającym słońcu wąską dróżką w tamtą stronę.

Pastwisko ciągnęło się od brzegu lasu aż po plażę. Krowy pasły się zapamiętale i nawet nie podniosły głów, gdy Celia przedostała się przez ogrodzenie, które miało powstrzymać zwierzęta przed wtargnięciem na wąskie pasmo nadbrzeżnego piasku.

Gdy była w tej okolicy, zawsze wybierała krótszą drogę powrotną przez plażę. Co prawda w pierwszym okresie po śmierci Gavina unikała bliskości wody, z czasem jednak powróciła do swego starego zwyczaju. Niestety, zbyt późno uświadomiła sobie, że akurat tego dnia nie powinna była iść tędy. Wspomnienia tak jej ciążyły, że czuła się jakby przeniesiona w pierwsze tygodnie po wypadku. Jak często biegała brzegiem morza z Gavinem! Obejmowali się, całowali, pełni nadziei z ufnością patrzyli w przyszłość. Gavin często wdrapywał się na skałę sięgającą głęboko w morze.

— Stąd mogę oglądać przepiękne syreny — drażnił się z nią ze śmiechem. — Uważaj, pewnego dnia jedna z nich może wypłynąć i zabrać mnie ze sobą.

Celia tak była pogrążona we wspomnieniach, że zapomniała o bożym świecie. Dopiero gdy potknęła się o coś, co leżało przed nią na piasku, brutalnie została przywrócona do rzeczywistości. Nie zdołała nawet krzyknąć, tak była oszołomiona.

U jej stóp leżał mężczyzna — z rozpostartymi ramionami i dłońmi pełnymi piasku! Był prawie nagi i w słonecznym świetle jego jasne włosy i opalona skóra wydawały się mienić złotem.

Trwało chwilę, zanim Celia przyszła do siebie. Przejście od ciągle jeszcze żywych wspomnień o Gavinie do tego człowieka, zda się martwego, na którego tak niespodziewanie się natknęła, było zbyt gwałtowne.

Schyliła się nad nim, stwierdzając z ulgą, że jakkolwiek bardzo słabo, jeszcze oddycha. Głowę miał przekrzywioną na bok, mogła więc spojrzeć mu na twarz. Jego brwi były pełne piasku, wargi nabrzmiate i spękane, oczy zamknięte.

Nagle w Celię wstąpiło życie. Ze zduszonym okrzykiem skoczyła na równe nogi i popędziła do domu.

— Na plaży leży człowiek — wołając już z daleka z impetem wpadła do kuchni. — Ciociu, tam na brzegu leży człowiek. Jeszcze oddycha. Musiały go wyrzucić fale.

Meg natychmiast przystąpiła do działania.

— Ja wezwę lekarza, a ty z wujkiem jedź po niego na plażę.

Celia wypadła z domu. Bert, usłyszawszy jej krzyk, bez zbędnych pytań siadł za kierownicą starej furgonetki i zapalił silnik.

Podjechali do nieznanego. Wspólnymi siłami złożyli mężczyznę ostrożnie na podłodze samochodu, a Celia uklękła obok podtrzymując jego głowę. Powoli, unikając wstrząsów, furgonetka wracała na farmę.

Tymczasem Meg przygotowała mały pokoik koło kuchni i pomogła ułożyć obcego w świeżo obleczoneym łóżku.

— Nie znam go — rzekł Bert w typowy dla siebie, lakoniczny sposób. — Prawdopodobnie turysta. Policja w mieście chyba już została powiadomiona o zaginięciu.

Upłynęła godzina, zanim przyjechał lekarz. Przez cały ten czas mężczyzna się nie poruszył. Gdyby nie lekkie

unoszenie się klatki piersiowej, można by było pomyśleć, że jest martwy.

— Totalne wycięczenie — orzekł lekarz Morgan zbadawszy obcego. — I jeszcze guz na głowie, ale to drobiazg. Poza tym jest zdrowy i mocny. Pozwólcie mu na razie spać, a jak się obudzi, dajcie mu jeść i pić.

Lekarz pomógł jeszcze Meg choć trochę umyć nieznanego i odziać go w żółtą piżamę, którą Bert dostał w prezencie, ale której nie nosił, uparcie twierdząc, że nie jest to kolor odpowiedni dla jego wieku.

Po przeżyciach poranka Meg zaparzyła mocnej kawy. Dobrą chwilę trwało, zanim wszyscy troje powrócili do swoich zajęć. Celia raz jeszcze rzuciła okiem na śpiącego mężczyznę, po czym włożyła słomkowy kapelusz i poszła do dużego ogrodu warzywnego po drugiej stronie domu. Przy ogrodzeniu zatrzymała się, w zamyśleniu spoglądając na morze, w tej chwili takie spokojne, nie mające w sobie nic przerażającego. A przecież w ostatnią noc znów człowiek walczył z przemożnymi siłami natury. To zakrawało na cud, że uszedł wzburzoną falą. Gavino wi to się nie udało.

— A temu tak — szepnęła Celia, odczuwając coś jakby triumf. — Temu się udało. Żyje.

Minęła noc, dzień i jeszcze jedna noc, zanim obcy po raz pierwszy otworzył oczy. Właśnie kończyli śniadanie, gdy z przyległego pokoju dobiegł ich uszu jęk.

— Obudził się! — Stojąc na środku kuchni Meg zaczęła nadśłuchiwać. — Założę się, że przede wszystkim będzie porządnie głodny.

Otwarli drzwi, a mężczyzna wyszeptał ochryple:

— Wody... Proszę...

Meg natychmiast znalazła się obok niego. Jedną ręką uniosła głowę obcego, a drugą przytknęła do jego ust filizankę z zimną wodą. Zamknął oczy i pił długimi łykami jak ktoś umierający z pragnienia. Celia stała w nogach

łódka przyglądając się, jak z westchnieniem ulgi ponownie opada na poduszki. W pewnym momencie otworzył oczy i spojrzał na nią. W jego spojrzeniu odmalowało się zdziwienie. Długo nie odwracał od niej wzroku, aż uczuła, że się rumieni.

Meg wróciła z napełnioną od nowa filiżanką.

— Lekarz powiedział, że musi pan przede wszystkim pić — rzekła i powtórnie uniosła jego głowę. Tym razem nie zamknął oczu, a pijąc wpatrywał się w Celię jak urzeczonego.

— Dziękuję — szepnął opróżniwszy filiżankę. Potem rozejrzał się po małym pokoju. — Dobrze mi to zrobiło. Jeszcze nigdy nie piłem czegoś tak smacznego.

— Ale to przecież zwykła woda — roześmiała się Meg. — Czerpiemy ją ze źródła. A teraz otrzyma pan nieco posilnej zupy.

W chwilę później wróciła z parującym talerzem i zaczęła go karmić.

— To na pewno postawi pana na nogi — rzekła, gdy skończył jeść. — Spał pan ponad dwa dni. Już martwiliśmy się o pana.

— Aż dwa dni? — nieznajomy wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

— Celia znalazła pana na plaży. Cudem uszedł pan morzu. Pańska łódź wywróciła się w czasie sztormu?

— Sztorm? — spytał mężczyzna, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy.

— I to jaki! Fale wyrzuciły pana na brzeg. Prawdopodobnie ktoś tam niepokoi się o pana. Proszę podać nazwisko, a zadzwonimy do pańskiej rodziny i prześlemy wiadomość.

Obcy oparł się na łokciach, z natężeniem wpatrując się w przestrzeń. Wreszcie spojrzał na Celię, wydawało się jednak, że patrzy jakby poprzez nią.

— Nie mogę... — potrząsnął głową. Wyglądało na to, że jemu samemu wydaje się to dziwne. — Ja... po prostu nie mogę przypomnieć sobie własnego nazwiska.

Trwało chwilę, zanim dotarła do nich ta niepojęta wiadomość.

— Ale... ale jak to? — Meg nie posiadała się ze zdumienia. — Rozumiem, że może mieć pan chaos w głowie, ale żeby nie pamiętać swego nazwiska?!

— Przykro mi, ale to prawda. Nie mogę sobie przypomnieć ani nazwiska, ani niczego innego. Próbuję za wszelką cenę, lecz mi to nie wychodzi.

— Ma pan czas — wmieszał się do rozmowy Bert. — Trudno się dziwić, przeszedł pan piekło. Gdy stanie pan wreszcie na nogi, wszystko się panu przypomni.

Opuścili pokój, gdyż obcy zapadł z powrotem w głęboki sen. W południe czuł się już dużo lepiej. Usiadł na łóżku i zaczął jeść obiad, który przyniosła Celia.

— Dziękuję — rzekł uśmiechając się do niej. — Cóż bym począł bez pani?

Odwzajemniła uśmiech czując, że znowu się rumieni. Nagle jej wzrok padł na jego prawą rękę, na której błyszczał ciężki pierścień. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziała — a już na pewno nie na ręce mężczyzny.

— No, jak tam? — spytał Bert, gdy obcy zjadł kolację i wydawał się dużo silniejszy. — Może pan już sobie coś przypomnieć?

Nieznajomy pokręcił głową.

— Niestety nie. Próbowałem, lecz ciągle natrafiam na absolutną pustkę. Im usilniej staram się sobie coś przypomnieć, tym bardziej wszystko się zaciera.

Następnego dnia przed południem doktor Morgan, wychodząc od obcego, zaszedł do kuchni, gdzie oczekiwano go z niecierpliwością. Na pytania, którymi go zasypano, odpowiedział bezradnym wzruszeniem ramion.

— Cierpi na zanik pamięci. Nic dziwnego po tym, co musiał przejść.

Bert osłupiał.

— Z czymś takim jeszcze nigdy się nie spotkałem —

wymamrotał. — A co mówią w mieście? Pytał ktoś o niego na policji?

— Nie. Wygląda na to, że nikt nie zauważył jego nieobecności.

— Jak długo potrwa, zanim wróci mu pamięć?

— Trudno powiedzieć — rzekł doktor. — Może to być kwestia paru godzin albo dni — lecz zdarza się, że taki stan potrafi trwać całe miesiące. Jeśli nie możecie zatrzymać go u siebie, rozejrzę się w mieście, gdzie by go umieścić. Już i tak zrobiliście dużo dla całkiem obcego człowieka.

Bert machnął ręką.

— Myśmy go znaleźli, u nas też może zostać, jak długo zechce. Nie sprawia kłopotu.

Doktor skinął głową, jakby niczego innego nie oczekiwał. Na tym z rzadka zaludnionym obszarze gościnność była jeszcze w cenie i bardzo by się zdziwił, gdyby Bert zareagował inaczej.

— Nie męczcie go pytaniami — radził. — Jeśli bez ustanku będzie się starał rozjaśnić mrok, może się to zwrócić przeciwko niemu. Traktujcie go całkiem normalnie, wtedy może pamięć wróci wcześniej, niż myślimy.

Celia odprowadziła doktora Morgana do samochodu.

— Właściwie skąd bierze się taki zanik pamięci?

— Przyczyny mogą być różne, a tak do końca nikt tego jeszcze naprawdę nie wie — rzekł doktor. — Amnezja może pojawić się jako wynik silnego uderzenia w głowę, ale może być też tak, że ludzie w rozpaczliwej sytuacji, kiedy nie widzą wyjścia, uczuciowo jakby odgradzają się od swego dotychczasowego życia, instynktownie blokując swą przeszłość, aby móc rozpocząć na nowo. Były już przypadki, że ktoś wyszedł do sklepu za róg i nigdy więcej nie powrócił do domu. Niektórzy z nich nie umieli później powiedzieć, skąd się wzięli w danym miejscu.

— A jak jest w przypadku tego obcego?

— Celio, choćbym bardzo chciał, nie umiem tego powiedzieć.

Długo patrzyła za autem lekarza, aż do momentu, jak wzięło ostatni zakręt i znikło za drzewami. Wróciwszy do domu ujrzała, że mężczyzna siedzi wyprostowany na łóżku.

— Chciałbym wstać — powiedział ujrawszy Celię. — Gdybym się tylko miał w co ubrać...

Meg usłyszała z kuchni jego słowa.

— Jest pan co prawda wyższy niż mój mąż, ale może coś się znajdzie.

Na szczęście Bert zawsze obstawał przy tym, żeby kupować ubrania przynajmniej o numer większe. W zbyt dopasowanych rzeczach po prostu źle się czuł. Po kilku nieudanych próbach Meg znalazła wreszcie wypłowiałe dzinsy i niebieską bawełnianą koszulę, którą mężczyźnie z trudem udało się zapiąć na swej szerokiej piersi.

Większy kłopot sprawiły buty. Ostatecznie jednak znalazły się stare sandały Berta, tak rozdeptane, że nie uwierały przy każdym kroku. Kiedy obcy wszedł do kuchni, Celia spojrzała na niego zdziwiona. Był o wiele wyższy, niż myślała, i nawet znoszona odzież nie mogła ukryć wyjątkowo proporcjonalnej budowy, szerokich ramion i wąskich bioder.

— Przyniosę panu coś do picia — zaproponowała, zauważywszy, że mężczyźnie sprawia przyjemność jej taksujące spojrzenie. — Niech pan usiądzie na werandzie. W cieniu nie jest tak gorąco.

Gdy wróciła, siedział w starym bujanym fotelu z wikliny, który całkiem wypłowiał od słońca i wiatru. Właściwie miała ochotę usiąść obok, ale że czuła się dziwnie skrępowana w obecności tego przystojnego mężczyzny, zesza kilka stopni niżej, do ogrodu.

Zwykle zajęta przy grządkach potrafiła zapomnieć o wszystkim dokoła, tym razem jednak była rozkojarzona. Ciągle jej się zdawało, że ktoś ją obserwuje. I nie myliła

się. Gdy się bowiem wyprostowała, ujrzała nagle przed sobą obcego.

— Och! — cofnęła się. — W ogóle nie słyszałam pańskich kroków.

W jego ciemnych oczach, stanowiących osobliwy kontrast z jasnymi włosami, teraz, w słonecznym świetle, błyszczały małe punkciki. Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Tak mi przykro — powiedział. — Nie chciałem pani przestraszyć. Może mógłbym pomóc?

— To nie wchodzi w grę — oświadczyła kategorycznie. — Ostatecznie jest pan dopiero od kilku chwil na nogach. Byłoby to dla pana zbyt męczące.

Jednak obcy, zamiast wrócić na werandę, stanął obok Celi przyglądając się, jak plewi grządkę, po czym zaczął robić to samo. Celia przyglądała mu się kątem oka.

— O nie! — aż się poderwała. — To nie są chwasty.

Spojrzał na nią niemal przestraszony.

— Przepraszam, myślałem, że to zielsko. Po prostu nie znam się na tym.

— Nic takiego się nie stało. — Zła była na siebie za ten wybuch. — Zasadzimy roślinki ponownie i wszystko będzie w porządku.

Wsadziła każdą z małych sadzonek do ziemi, z nadzieją, że się przyjmie. Obcy kucał obok, uważnie śledząc każdy jej ruch.

— Jak pani się z nimi ostrożnie obchodzi! — zauważył zdziwiony. — Ja bym tak nie potrafił.

— Jeśli pan już tak koniecznie chce pomagać, pokażę panu różnicę między roślinami uprawnymi a chwastami.

Z uśmiechem oprowadziła go po ogrodzie. Obcy widząc, jak jest z niego dumna, kazał sobie wszystko dokładnie objaśniać. Melony, pomidory, fasola, groszek zielony — chyba niczego tu nie brakowało.

— Niech pan spróbuje malin. Najlepiej smakują prosto z krzaka — namawiała.

Nieznajomy poszedł za jej radą.

— Rzeczywiście wspaniale!

Celia pokazała mu, jak się przerywa marchewkę, i pracowali tak ramię w ramię, aż nadeszła pora przygnania krów z pastwiska. Mimo iż protestowała, twierdząc, że powinien odpocząć, poszedł z nią razem.

Wybrała drogę wzdłuż plaży. Szedł obok wdychając z przyjemnością pachnące ziołami i morzem powietrze.

— Tutaj mnie pani znalazła? — zatrzymał się nagle.

Skinęła głową odgarniając kosmyk włosów z czoła. Błysnął przy tym jej pierścionek zaręczynowy, z którym za nic do tej pory nie chciała się rozstać.

— Co powie pani narzeczonemu, gdy się dowie, że przyjęła pani obcego mężczyznę do domu? — spytał.

— Ja... ja nie mam już narzeczonego — wyszeptwała odwracając oczy. — Od roku nie żyje...

— Przykro mi — wyszeptał. — Nie wiedziałem...

Każdy na jego miejscu powiedziałby to samo, ale w wydaniu tego obcego nie brzmiało to jak pospolity frazes, raczej łagodnie i współczująco. Była mu wdzięczna. Milcząc ruszyła przodem, on postępował za nią.

Gdy krowy ujrzały Celię, zbiły się w gromadkę, po czym ociężałe zaczęły wstępować na ścieżkę wiodącą do domu. Jedna z nich stanęła obwąchując rękę obcego, jakby doskonale wiedziała, że widzi go po raz pierwszy. W którymś momencie nawet wyciągnęła różowy język, usiłując go polizać, mężczyzna jednak wykonał unik, skwitowany przez Celię głośnym śmiechem.

— Niech się pan nie boi. Ona tylko chce wiedzieć, kim pan jest.

— Gdyby potrafiła odgadnąć, byłbym jej wdzięczny.

Teraz i on się roześmiał. Podszedł bliżej do zwierzęcia i ostrożnie wyciągnął rękę. Celia, ujrawszy jego wypielęgnowane dłonie, była pewna, że nigdy jeszcze dotąd nie widniały na nich ślady fizycznej pracy. Starannie zrobiony manicure i gładka, bez zgrubień, jedwabista skóra świadczyły, iż obcy nie musiał zarabiać w ten sposób na życie.

W oborze czekał już Bert z elektryczną dojarką.

— Kiedyś mieliśmy więcej bydła — tłumaczył obcemu — ale postarzałem się i nie mogę wszystkiemu poddać. Cena mleka poza tym ciągle spada i w gruncie rzeczy hodowla krów przestała być opłacalna. W następnym roku sprzedam inwentarz i w ogóle całą farmę.

— Nie ma pan syna, który mógłby to wszystko przejąć?

— Niestety nie — westchnął Bert. — Zresztą nawet gdybyśmy mieli syna, już dawno by się pewnie przeniósł do miasta, jak większość młodych ludzi stąd. Na farmie jest dużo pracy, a dochody właściwie żadne.

Celia odwróciła się i poszła nakarmić cielęta. Przykro jej było słuchać, gdy wujek Bert mówił o sprzedaży farmy. Wiedziała wprawdzie, że byłoby to najrozsądniejsze rozwiązanie i z całej duszy życzyła obojgu starszym ludziom, aby resztę życia mogli spędzić w mieście w przytulnym domku z widokiem na morze, wołała jednak nie myśleć, jak wtedy będzie wyglądał jej los. No cóż, będzie musiała znaleźć sobie jakąś pracę w mieście i całe dni spędzać w murach. A tak lubiła życie na farmie!

— Czasy się zmieniają — dobiegł ją głos wujka. — Małe farmy nie mają szans. Mogą z biedą wyżywić właścicieli. Oczywiście w okolicy nie brakuje ziemi, ale ja nigdy nie miałem pieniędzy, żeby coś dokupić. Teraz wykupują ją speculanci, aby następnie odsprzedać z maksymalnym zyskiem.

— A czy można doprowadzić farmę do takiego stanu, żeby była dochodowa?

— Jak się ma gotówkę, dokupi ziemi i całość przeznaczony pod jedną uprawę. Inaczej nie. Ale ja jestem za stary, by coś zmieniać.

Mężczyzna w zamyśleniu przyglądał się, jak Bert wędruje z dojarką od jednej krowy do drugiej, a następnie myje poszczególne elementy maszyny. Na końcu pomógł wnieść do chłodni bańki z mlekiem.

Gdy wszyscy troje zgodnie zmierzali do domu, już na podwórzu doszedł ich zapach pieczeni. Meg stawiała właśnie na stole talerze z porcjami mięsa.

— Każdy kucharz w restauracji z trzema gwiazdkami byłby rad, gdyby mu się tak udało pieczeń — nie szczędził pochwał obcy, gdy na stole zostały tylko puste talerze i sztućce.

Meg uśmiechnęła się, prawie zakłopotana.

— To mięso z chowanej przez nas sztuki. Jest dobre, gdy zwierzęta są odpowiednio karmione i spasają soczystą trawę.

Choć dzień był dla obcego mężczyzny niewątpliwie bardzo wyczerpujący, nie chciał iść zaraz po kolacji do łóżka. Usiadł na werandzie, gdzie Bert zagłębił się w lekturze gazety, a Meg zabrała do roboty na drutach. Celia usadowiła się na stopniu, pochłonięta widokiem zachodzącego słońca.

— Panie Walton — przerwał zniecierpliwiony ciszę obcy i odczekał, aż Bert na niego spojrział. — Panie Walton, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, chciałbym u pana pracować. Byliście wszyscy dla mnie tacy dobrzy, a ja chciałbym okazać swoją wdzięczność.

Zaskoczony Bert aż upuścił gazetę.

— Ależ to niepotrzebne, proszę mi wierzyć. Nigdy nie najmowałem ludzi do pracy.

— Nie chcę zapłaty — rzekł mężczyzna. — I tak nie będę się mógł do końca odwdziaczyć za to, co dla mnie uczyniliście. A ja... chętnie bym pozostał tutaj tak długo, póki... tak, póki nie wróci mi pamięć. Nie chciałbym tylko siedzieć beczynnym, mógłbym przecież robić coś pożytecznego. Myślałem...

— Nie, nie ma mowy — wmieszała się energicznie Meg. — Pan jeszcze całkiem nie wydobrzył.

— Pani Walton, proszę mi wierzyć, czuję się na tyle silny, że spokojnie mogę się za coś wziąć.

Celia zauważyła, jak spojrzenie Berta powędrowało do

wypiełgnowanych dłoni nieznajomego. Coś jakby rozbawiony uśmiech pojawiło się na jego twarzy, gdy rzekł:

— Dobrze, niech i tak będzie. Nadchodzi pora sianokosów, a w takim gorącym okresie liczy się każda para rąk.

Dziewczyna wiedziała, jaka praca ich czeka. A że było nie do pomyślenia, by zatrudnić kogoś do pomocy, propozycja obcego spadła więc jak z nieba.

— Dziękuję, panie Walton — rzekł rozpromieniony mężczyzna. — Przysięgam, że będę się starał.

Później, gdy już zrobiło się całkiem ciemno, Celia leżała w łóżku wsłuchana w monotony odgłos fal rozbijających się o brzeg. Była to pora, kiedy opadały ją złe wspomnienia i szum morza przejmował dreszczem. Tym razem było inaczej. Wspomnienia owszem, wróciły, lecz nie napawały już grozą.

Wstała i otworzyła okno. Zamyślona wpatrywała się w ciemność. Kim był obcy? Skąd pochodził? I dlaczego nikogo nie zaniepokoiła jego nieobecność, nikt go nie szukał?

Z westchnieniem wróciła do łóżka, zwinęła się w kłębek jak kociątko i naciągnęła kołdrę na siebie. Wiedziała, że wyśpi się tej nocy.

2.

Następnego ranka obcy zaproponował, że zajmie się krowami. Celia mu towarzyszyła.

Milcząc szli przez podwórze w porannej mgłę, która sunęła znad morza całymi tumanami. Krowy jeszcze spały.

— Aż szkoda przerywać im taki wspaniały sen — zauważył ze śmiechem.

— No cóż, musimy to zrobić — Celia zamknęła za sobą skrzypiące wrota.

Pokazała obcemu, jak należy się obchodzić z dojarką i jak z wymienia wyciska się resztę mleka. Próbował to zrobić i obydwójce musieli się roześmiać z jego nieporadności. Za nic nie chciało mu wyjść, choć bardzo się starał.

— Potrzeba przynajmniej tygodnia, żeby pan się tego nauczył.

Bert, nie zauważony przez nich, wsunął się cicho do obory i stanął z tyłu.

— Ja też tak myślę — powiedział, a Celia i obcy aż drgnęli na dźwięk jego głosu.

Gdy krowy opuściły oborę, mężczyzna wziął do ręki łopatę i zabrał się do sprzątnięcia.

Celia przechodziła właśnie z naręczem trawy dla cieląt, gdy nagle wybuchnął śmiechem.

Przystanąła zdziwiona.

— Nie wiem skąd — oświadczył — lecz mam wrażenie, że nigdy nie miałem okazji przyzwyczaić się do takich czynności.

Kiedy obora była już uprzątnięta, wszyscy troje poszli do kuchni, gdzie Meg czekała na nich z obfitym śniadaniem. Na patelni skwierczały jajka z szynką, na stole zaś stało masło, marmolada i cała góra grzanek.

— Na farmie koniecznie trzeba jeść solidne śniadania — rzekła widząc zdziwione spojrzenie obcego. — Musi się nabrać sił, by starczyło ich na cały dzień.

Po śniadaniu mężczyzna poszedł z Bertem na górną łąkę rozrzucić siano, aby lepiej wyschło, Celia zaś, włożywszy jak zwykle słomkowy kapelusz, ruszyła w kierunku kartofliska, które zaczynało się za drogą dojazdową i ciągnęło przez całą szerokość posesji. Wzięła ze sobą motykę, zdecydowana wydać walkę pniącym się tam chwastom.

Nasunąwszy kapelusz głęboko na czoło zawzięcie okopywała ziemniaki, aż wreszcie nadszedł czas, kiedy należało wrócić do domu i pomóc Meg przy obiedzie. Po drodze zerwała jeszcze w ogrodzie główkę sałaty, która stanowiła znakomite uzupełnienie zimnej pieczeni i grubych kromek świeżo upieczonego, chrupiącego chleba.

Obcy nabrał wielki kubek wody źródlanej.

— Woda smakuje tu lepiej niż wino w niektórych lokalach — oświadczył z przekonaniem pijąc wielkimi łykami.

Bert i Meg patrzyli na niego oszołomieni. Niewiele wiedzieli o winie, pojawiało się ono bowiem na ich stole najwyżej z okazji świąt. Wyglądało na to, że u obcego było pod tym względem inaczej.

Meg poprosiła kilka razy, aby jej podał masło czy chleb. Nagle odłożyła sztućce i z dezaprobatą pokręciła głową.

— Nie może tak być — spojrzała na niego z uwagą. — Po prostu musimy nadać panu imię. Nigdy nie wiem, jak się do pana zwracać.

Obcy przełknął jeszcze jeden łyk wody, po czym zwrócił się do Celii.

— Pani ciocia ma rację. Jak pani myśli, jakie imię do mnie pasuje?

— No... nie wiem... A jakie imię panu się podoba?

— Zaakceptuję każde, które mi pani nada. Niech pani skorzysta z szansy, Celio. Prawdopodobnie nie będzie już pani miała okazji nadać imienia dorosłemu człowiekowi.

Celia uśmiechnęła się.

— Może... a co by było, gdybyśmy nazwali pana Adamem?

— Adamem? — zastanowił się. — Czemu nie? Adam, pierwszy mężczyzna. Pasuje.

Jak na kogoś, dla kogo własna przeszłość jest zagadką, nie robi zbyt wiele, aby wysświetlić tę tajemnicę, myślała Celia.

Całe popołudnie spędziła wśród rządów kartofli. Wyprostowała się i wsparła na motyce dopiero wtedy, gdy usłyszała warkot zbliżającego się ciągnika. Zwiastował on czas odpoczynku. Ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że Adam prowadzi, a Bert przykucnął z tyłu. Rozpromieniony pomachał jej ręką.

— Pani wujek pozwolił mi prowadzić ciągnik — zawołał do niej z dumą. — Poza tym nauczyłem się dziś, jak się grabi siano.

Pokręciła głową. Jej, Celii, zezwalał na to bardzo rzadko.

— Dobrze sobie poczyna — Bert wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Jeszcze będzie z tego chłopca farmer co się zowie.

Uśmiechnęła się słysząc niecodzienny komplement w ustach wymagającego wujka. Adam na pewno musiał się natrudzić, by odpowiednio przygotować siano do belowania. Berta trudno było zadowolić.

Przez następne trzy dni Adam pracował u jego boku, nie zdradzając słowem, czy powróciła mu pamięć. Doktor Morgan jeszcze raz przybył na farmę, zbadał go i stwierdził, że z całą pewnością Adam jest fizycznie zdrowy.

— Wydaje się — rzekł do niego — że nie tak prędko wróci panu pamięć. Proponuję zatem, aby pan w najbliż-

szych dniach udał się do miasta i tam poszedł na policję. Zrobią panu zdjęcie i porównają ze zdjęciami osób uchodzących za zaginione. Może to coś da.

Adam tylko wzruszył ramionami, jak gdyby nie za bardzo interesowała go własna tożsamość. Mimo to jednak następnego dnia pojechał z Bertem do miasta.

Gdy wrócili koło południa, był całkiem inaczej odziany. Oprócz dżinsów wybrał sobie koszulę, co prawda prostą w kroju i nie rzucającą się w oczy, znakomicie jednak pasującą pod względem koloru i materiału. Stroju dopełnił szeroki pas i wysokie skórzane buty, a paczka z jeszcze innymi rzeczami wskazywała, że Bert nie był skąpy.

Adam zniknął w swoim pokoju, a Meg korzystając z jego nieobecności spytała:

— Byliście na policji?

— Tak. Sierżant Hazlitt bardzo się zainteresował tą sprawą. Zrobił Adamowi zdjęcie, stawiając przy tym całe mnóstwo pytań. Potem wziął mnie na bok i szepnął jakby od niechcienia do ucha, że ostatnimi czasy na wybrzeżu znów pojawiło się wielu przemytników.

Ludzie w okolicy znali to. Kiedyś niewolnicy próbowali tą drogą ująć swemu losowi, a w czasach prohibicji wyładowywano tu potajemnie całe transporty whisky i innych napojów alkoholowych. Teraz jednak chodziło o nieporównywalnie niebezpieczniejsze sprawy. Przede wszystkim narkotyki, ale także pochodzące z kradzieży diamenty i złote monety.

— Powiedział coś jeszcze ten cały sierżant? — Meg niechętnie zmarszczyła czoło, mało tego, wyglądała na wręcz oburzoną. — Adam z pewnością nigdy nie był zamieszany w kryminalne historie.

Gdy Adam ponownie wszedł do kuchni, rozmowa z miejsca się urwała. Nie zwracając na to uwagi nalał sobie kubek wody, a przy tej czynności błysnął jego pierścień. Po raz któryś z rzędu Celia zastanawiała się, skąd może go mieć i dlaczego nosi taką rzucającą się w oczy rzecz.

Mężczyźni w okolicy nie nosili niczego poza wąskimi obrączkami. Wydawało jej się nawet, że pierścień jakoś dziwnie nie pasuje do Adama, choć przecież nic, absolutnie nic o nim nie wiedziała.

Tuż przed kolacją zeszła do ogrodu, aby nazrywać świeżych malin. Na deser miały być lody, które Bert przywiózł z miasta. Lody ze świeżymi malinami — Gavin tak je lubił!

Przypomniała sobie, jak raz poszedł za nią do ogrodu. Zrywanie malin trwało wtedy tak długo, że ciocia Meg musiała aż za nimi wołać, a oni po prostu bawili się w najlepsze, wkładając sobie nawzajem owoce do ust.

— O Boże, Gavin! — szepnęła. Zamknęła oczy próbując przywołać jego twarz. Była tak pogrążona w myślach, że zrywając maliny boleśnie pokłuła sobie palce.

W kuchni zastała Adama z całym naręczem polnych kwiatów. Jego wzrok promieniał.

— Uznałem, że są wspaniałe, i wprost nie mogłem oprzeć się chęci ich zerwania.

Na widok zdumionej miny ciotki Celia musiała się uśmiechnąć. Gdybyż to Adam wiedział, że ludzie ze wsi uważają kwiaty z łąki za chwasty i nigdy ich nie stawiają w mieszkaniu!

Później w oborze, przy dojeniu, stwierdziła, że świetnie sobie radzi. Umiał już obchodzić się z dojarką elektryczną, odnosił jedną po drugiej bańki z mlekiem do chłodni, a wśród krów poruszał się tak zręcznie, jakby robił to od dziecka.

— Odnoszę wrażenie, że panienki zaczynają mnie lubić — rzekł ze śmiechem, klepiąc krowy po zadach. — Zachowują się tak, jakby znały mnie od dawna.

Celia skinęła głową.

— O tak, one doskonale wiedzą, kto im może wyrzadzić krzywdę, a kto nie.

Po kolacji poszli na kartoflisko. Wytłumaczyła mu,

dłaczego opryski najlepiej robić wieczorem, pokazała też rzędy roślin zaatakowane przez stonkę.

— Zawsze jest jej tak dużo? — spytał.

— Tak, to się powtarza co roku — rzekła z troską. — Nie bardzo wiadomo, jak to zwalczyć. Możemy się tylko cieszyć, że nasze kartoflisko nie jest wielkie. Najgorzej jest na farmach nastawionych wyłącznie na uprawę ziemniaków.

Adam schylił się oglądając uważnie jedną z zaatakowanych roślin.

— To dziwne — szepnął w zamyśleniu. — Ludzie w mieście jedzą co dzień ziemniaki, a do głowy im nie przyjdzie, ile to trzeba zachodu, by się znalazły na ich stołach. Każdy powinien jakiś czas spędzić na wsi, by zrozumieć, że to wcale nie jest takie samo przez się zrozumiacie.

Kiedy ze szklankami lemoniady w ręku siedzieli wieczorną porą na werandzie, Adam zapytał o sąsiadów, a potem chciał poznać historię tych okolic.

Celia opowiedziała mu o pierwszych osadnikach w tych stronach i o Francuzach, którzy tak długo byli napastowani przez Brytów, aż wreszcie opuścili swe domostwa i przenieśli się gdzie indziej.

— Wszyscy tu znają opowieść o młodej dziewczynie, która w tym burzliwym okresie zgubiła swego ukochanego i przez całe życie potem go szukała.

— I co, znalazła go?

— Tak, ale wtedy była już stara, a on leżał na łożu śmierci. Nie mogąc znieść żalu po ukochanym człowieku, sama wkrótce umarła. Wzruszająca historia, nieprawdaz?

Adam spojrzął z ukosa na Celię, która utkwiała wzrok gdzieś w przestrzeni.

— Owszem, romantyczna — rzekł — ale nie sądzisz, Celio, że obydwoje byli bardzo nierozsądni? Szukać przez całe życie człowieka, który być może znalazł szczęście u boku kogo innego?

Celia drgnęła, po raz pierwszy wściekła na niego. Kim był ten człowiek, że osmielił się mówić w ten sposób? Nie zauważyła nawet, że zwrócił się do niej po imieniu.

— Są ludzie, którzy zakochują się tylko raz w życiu — rzuciła chłodno — i wcale nie uważam, żeby to było takie głupie. — Poderwała się. — Komary dokuczają coraz bardziej. Chodźmy lepiej do domu.

Nie troszcząc się o Adama poszła na górę do swego pokoju.

Tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Historia, którą opowiedziała Adamowi, mieszała się w jej świadomości ze wspomnieniami o Gavinie. Czy Gavin należał do ludzi, którzy kochają tylko raz w życiu? Do tej pory nie zadawała sobie tego pytania, bo wydawało jej się, że zna na nie odpowiedź. A ją samą co tak naprawdę oczekiwało w życiu? Nieskończona pustka, lata bez szczęścia i radości, wypełnione dręczącymi wspomnieniami. Może jednak rzeczywiście nie miało to sensu?

Dwa razy tej nocy zapalała lampkę i chodziła tam i z powrotem po pokoju. Czy to naprawdę byłaby zdrada wobec Gavina, gdyby jeszcze oczekiwała czegoś od życia?

Nieszczęśliwa, z poczuciem winy wsunęła się wreszcie pod koldrę i zapadła w niespokojny sen.

Następnego rana poszła do ogrodu, aby zerwać trochę zielonego groszku. Była to też ostatnia okazja, żeby coś jeszcze zrobić przy grządkach. Bert zamierzał zaraz po obiedzie uruchomić prasę do siana, a Celia doskonale wiedziała, że gdy raz się zacznie z tą robotą, nie będzie chwili spoczynku aż do momentu, kiedy stodoła nie zostanie załadowana pod sam dach.

Trwało więcej niż godzinę, zanim uruchomiono starą prasę, która całymi miesiącami stała beczynnym w rogu szopy, i przyczepiono ją do ciągnika. Gdy to się wreszcie udało, Celia zapuściła motor, Bert zaś został z tyłu, miał bowiem obsługiwać prasę.

— Tylko jedź wolno — Bert usiłował przekrzyknąć głośny warkot maszyny. — Muszę sprawdzić, czy prasa dobrze działa.

Celia skierowała ciągnik na obrzeże wielkiej łąki, starając się jechać prosto. Mimo iż miał czuwać nad tym wujek, oglądała się ciągle za siebie taksując wyrzucone przez prasę bele.

Adam stał w pobliżu pod drzewem w charakterze uważnego widza, nie mogąc wprost oczu oderwać od Celi, która prowadziła ciągnik sprawnie, równomiernie, bez potrzeby korygowania kierunku. Nagle Adam krzyknął coś do Berta i zanim Celia się spostrzegła, obydwaj zamienili się miejscami. Teraz Bert wylądował pod drzewem, a Adam obsługiwał prasę.

„ Bert nie był człowiekiem, który potrafi się długo przyglądać, gdy inni pracują. Podeszedł do ciągnika, a Celia wiedziała już, co się święci.

— Idź do domu pomóc ciotce — rozkazał jej wdrapując się na siodółko. — Adam i ja damy sobie radę sami.

Celia nie była zachwycona rozwojem sytuacji. Lubiła prowadzić ciągnik, a nawet z góry cieszyła się na to.

Ostatecznie jednak rozsądek jej podpowiedział, że powinna być zadowolona. Adam okazał się dla Berta ogromną wyręką, a to przecież znaczyło tak wiele.

Gdy wrócili zakurzeni i spoceni, Celia zdążyła właśnie zapędzić krowy do obory. Widząc to Adam, wciągnięty już w swe nowe obowiązki, bez słowa sięgnął po dojarzkę i ustawił ją przy pierwszej z brzegu krowie. Bert stał w drzwiach przyglądając się.

— Uporaliśmy się z całą łąką — rzekł z dumą do siostrzenicy. — Adam świetnie sobie radzi.

— Musisz uważać — spojrzała z lekko drwiącym uśmiechem na Adama. — Pewnego ranka obudzisz się z ramionami do kolan, tak będą naciągnięte w stawach.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

— Wtedy wyląduję w zoo — skwitował ze spokojem. — Jako osobliwy stwór...

Dopiero teraz zauważyła, że jego dłonie są w pęcherzach, niesamowicie podrapane. Była przerażona.

— O Boże, spójrz na swoje ręce, Adamie. Zaraz ci je opatrzę, a jutro włożysz rękawice ochronne.

Gdy później jodynowała mu poranione dłonie, nawet nie drgnął.

— Powinnaś zostać pielęgniarką — stwierdził z uśmiechem.

Cały następny dzień pracowali przy montażu przenośnika, a gdy maszyna była gotowa, usiłovali ją tak ustawić, aby przez wąskie wrota sięgała mniej więcej do połowy wysokości stodoły.

Adam pracował zawzięcie, nie pozwalając sobie na przerwy, mimo iż Celia ostrzegła go, że następnego dnia poczuje wszystkie kości.

— Co tam — machnął ręką. — Praca sprawia mi przyjemność.

Wreszcie przenośnik został odpowiednio ustawiony i Bert przymocował jego koniec mocnym łańcuchem do belki. Celia stała obok przyglądając się obu mężczyznom, ale tak naprawdę to przede wszystkim Adam przykuwał jej uwagę. Jego ramiona — jakby dzięki ciężkiej pracy — wydawały jej się jeszcze szersze, ręce miał opalone. Nagle zdała sobie sprawę, że przygląda się z podziwem mężczyźnie. Nie zdarzyło jej się to od śmierci Gavina! Na szczęście Adam, zajęty bez reszty pracą, nie zwrócił uwagi na te spojrzenia.

Na moment zamknęła oczy, usiłując wywołać w pamięci obraz Gavina — ale nic z tego! Był zatarty, niewyraźny, jak nigdy dotąd.

Przy obiedzie uświadomiła sobie, w czym rzecz. To na Adama patrzyła teraz zupełnie innymi oczami, dlatego przeszłość zbladła. Za każdym razem, gdy rzucała nań

okiem, musiała od nowa stwierdzać, że jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną, a jego bliskość, tak, przyznawała się do tego przed sobą, działała zniewalająco. Jedno było pewne: bez względu na to, kim był, na pewno nie wychował się na farmie.

Popołudnie zeszło jej na krzątaniu się po kuchni, popracowała też chwilę w ogrodzie. Mężczyźni zajęci byli reperowaniem przyczepy, którą następnego dnia mieli zwozić siano.

Godziny mijały, a Celia była tak pogrążona w myślach, że właściwie nie zdawała sobie sprawy, co robi, jak automat wykonując jedną czynność po drugiej. Zanim się obejrzała, nadszedł czas przygonienia krów z pastwiska.

Po kolacji wyszła z domu i usiadła na trawie pod wielkim klonem. W chwilę potem podszedł do niej Adam. Położył się obok, skrzyżował ręce pod głową, przysłuchując się krzykowi mew.

— Zawsze myślałem, że mewy żywią się tylko tym, co wyłowią z morza.

Roześmiała się.

— Skądże, w czasie żniw można je spotkać także w głębi łądu. Widocznie smakuje im ziarno.

Celia już wcześniej zauważyła, że Adam stawia mnóstwo pytań, jakby ciągle mu było mało wiedzy o swym nowym otoczeniu. Tym razem kazał sobie dokładnie opisać, jak w zimie wygląda życie na farmie, jak daleko jest do najbliższych sąsiadów i czy stosunki między sąsiedzkie układają się dobrze. Interesowało go nawet, co dalej dzieje się z mlekiem, gdy rano zabiera je samochód.

— Wielkie nieba! — wybuchnęła śmiechem. — Od egzaminu końcowego nikt nigdy nie zadał mi tylu pytań naraz!

Wyczerpująco odpowiedziała mu na wszystko, ponieważ rada, że może z nim rozmawiać o takich ogólnych sprawach. Przynajmniej nie istniało niebezpieczeństwo,

że ich zdania będą się różnić, jak to już kiedyś miało miejsce, i że będzie zmuszona przerwać rozmowę.

Także tego wieczoru szła spać nie obawiając się długiej nocy. Od dziecka lękała się ciemności i dręczących myśli, a teraz zasypiała szybko i spała bez przerwy do samego rana. Instynktownie podejrzewała, skąd ta zmiana, wołała jednak o tym nie myśleć. Za wszelką cenę chciała pozostać wierna pamięci Gavina, lecz przychodziło jej to coraz trudniej...

Adam szybko przyzwyczał się do życia na farmie i tak się wciągnął w prace gospodarskie, jak gdyby w swym życiu nic innego nie robił. Razem z Bertem i Celią tworzyli zgrany zespół. Celia prowadziła ciągnik z przyczepą. Adam zasiadał za kierownicą większego traktora, zbierając automatycznymi widłami bele siana i wrzucając je na przyczepę. Tam znowu odbierał je Bert i tak zręcznie układał, że trzymały się mocno i nie spadały na ziemię podczas jazdy po nierównym gruncie. Pierwszego dnia praca szła wolniej, bo Adam dopiero uczył się poszczególnych czynności. Starał się jednak bardzo, a jego twarz zdradzała takie napięcie, że Celia chcąc nie chcąc musiała się roześmiać.

Nigdy dotąd od śmierci Gavina nie śmiała się tak serdecznie. Bert nic nie powiedział, ale jego oczy zdawały się mówić: Nawet jeżeli Adam tylko po to zjawił się w naszym domu, żeby przywrócić Celi radość życia, to niech ta chwila będzie błogosławiona.

Znalazszy się pod stodołą Celia tak zręcznie podjechała ciągnikiem, że siano można było prosto z przyczepy rzucać na przenośnik.

— Wy oboje rzucajcie bele — dyrygował Bert. — Ja idę na górę odbierać.

Celia wręczyła Adamowi parę rękawic ochronnych, po czym wdrapała się na przyczepę, skąd specjalnymi widłami zaczęła zrzucać bele siana, które Adam umieszczał na taśmie przenośnika.

W którymś momencie zatrzymał się i spojrzął na nią z troską.

— Za ciężko ci! To nie jest praca dla kobiet!

Roześmiała się.

— Od razu widać, że nie pochodzisz ze wsi. Tutaj każdy musi się brać do roboty, mężczyzna czy kobieta. Zwykle sama rozładowuję przyczepę.

Z niedowierzaniem patrzył Adam na jej drobną figurę, która w oślepiającym słońcu wyglądała jeszcze szczuplej niż kiedy indziej. Nie umiał powiedzieć, skąd to wie, lecz dla niego kobiety zawsze były delikatnymi, kruchymi stworzeniami i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że w tak filigranowej dziewczynie może tkwić tyle siły.

— Tutaj — krzyknęła Celia zrzucając następną belę. — Jeśli się nie pośpieszymy, wujek Bert pomyśli, że ucieliśmy sobie popołudniową drzemkę.

Wreszcie wpadli w to samo tempo i przyczepa zaczęła się opróżniać stosunkowo szybko. Była to naprawdę ciężka praca, po której Celię bolały wszystkie mięśnie. Tym razem też tak było, lecz o dziwo, miała wrażenie, że pracowała przez wiele godzin nie czując zmęczenia.

Kiedy skończyli, byli przysypani żdźbłami siana.

— Uch — Adam przeciągnął obiema dłońmi po włosach. — Myślę, że trzeba zacząć od czegoś zimnego do picia.

Przyniósł z kuchni wielki kubek źródlanej wody i podał Celi. Piła drobnymi łykami, po czym opróżniony do połowy oddała Adamowi. Przytknął swe wargi dokładnie w tym miejscu, z którego ona piła, a uśmiech, z jakim na nią spojrzął, spowodował, że jej serce zaczęło bić jak szalone.

W ciągu następnych dni praca szła im jeszcze sprawniej. Śmiali się i żartowali, jakby to była zwykła zabawa.

Celia odczuwała dziwną radość. Historia z Gavinem odpłynęła w przeszłość. Skończyły się nocne koszmary, wrócił jej wewnętrzny spokój.

Któregoś dnia ciągnik nagle odmówił posłuszeństwa. Bert podniósł maskę, schylił się nad silnikiem i w chwilę potem rozłożył ubrudzone olejem ręce.

— Przewód paliwowy jest nieszczelny — oznajmił. — Muszę jechać do miasta po brakującą część.

— Ja pojedę — zaproponowała Celia. — Musisz tylko dokładnie opisać, co mam kupić.

Bert spojrzał najpierw na nią, potem na Adama.

— Niezła myśl. Dziś i tak nic więcej nie zrobimy. Moglibyście pojechać razem. Przy okazji zapytalibyście na policji, czy nie ma czegoś nowego, a na końcu poszlibyście coś przekąsić. Mała odmiana dobrze wam zrobi.

Celia i Adam czuli się jak dwoje dzieci, które właśnie wybierają się na wagary.

— No, idźcie już — ponaglił ich Bert. — Ja też muszę trochę odpocząć.

Meg nie chciała z nimi jechać. Kąciki jej ust drgały w tłumionym śmiechu, gdy wręczała im listę rzeczy potrzebnych z miasta.

Celia poszła wziąć prysznic i przebrać się. Nagle uświadomiła sobie, że cały czas nuci, zupełnie jak kiedyś. Niepomierne ją to zdziwiło, nie pora była jednak nad tym się zastanawiać. Co do sukienek, zbyt wielkiego wyboru nie miała, ostatecznie więc zdecydowała się na białą bawełnianą, która odślaniała jej opalone ramiona. Kiedy stojąc przed lustrem szcztokowała włosy i nawet nałożyła odrobinę cienia na powieki, wydała się sobie dziewczyną wybierającą się na randkę. Wybuchnęła śmiechem.

Adam wręcz oniemiał, gdy wyszła z domu. Zwykle widywał ją w dżinsach i podkoszulku, a teraz ukazała się jego oczom całkiem odmieniona.

— Czy to możliwe? Prawie że cię nie poznałem — wykrzyknął.

Celia uśmiechnęła się.

— Ja poprowadzę. — Zdawała się nie słyszeć komplementu. — Zdaje się, że nie masz przy sobie prawa jazdy.

Opuściwszy szyby i włączywszy radio nadające właśnie głośną muzykę country, jechali wyboistą drogą dojazdową, a później skręcili na szosę do Harristown.

Miasteczko wydawało się drzemać w upale wczesnego popołudnia. Dopiero gdy znaleźli część zamienną do ciągnika i w supermarkecie zrobili zakupy dla cioci Meg, ulice zaczęły się stopniowo ożywiać.

Celia zaparkowała samochód pod starymi drzwiami, przy ulicy, gdzie stały same stare domy o ciekawej architekturze. Posterunek policji był zaledwie parę metrów dalej.

— Zapytamy raz jeszcze, czy ktoś ciebie nie poszukiwał — rzekła wysiadając.

Adam ograniczył się do wzruszenia ramionami, jakby mu było obojętne, skąd pochodzi i kim naprawę jest.

— Niestety, nic nowego — pokręcił głową sierżant Hazlitt. — Jeśli tylko się czegoś dowiem, zaraz dam znać.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, upał już nieco zelżał. Adam wziął Celię pod rękę i ruszyli wzdłuż głównej ulicy. Towarzyszyły im zaciekawione spojrzenia, jako że nikt nie znał tego rosnącego, przystojnego mężczyzny u boku Celi.

— Może byś zaproponowała jakąś restaurację, do której da się zabrać ładną młodą kobietę? — spytał wreszcie Adam.

Zaczerwieniła się.

— Nie ma tu zbyt wielu lokali na poziomie. Myślę, że moglibyśmy pójść do Gasparda. To rencista, restaurację otworzył parę lat temu. Ludzie w okolicy mówią, że jest osobliwie urządzona, ale wszyscy są zgodni, że tam można najlepiej zjeść.

— A więc idziemy do Gasparda.

Restauracja mieściła się w starej, bardzo wąskiej kamienicy z cegły. W pomieszczeniach o niskim stropie stało sześć stołów, zasłanych śnieżnobiałymi obrusami i za-

stawionych błyszczącymi kieliszkami do wszelkiego rodzaju alkoholi. Jedną ścianę zajmował olbrzymi kominek, przed którym stały dwa głębokie wygodne fotele.

Ledwie Celia i Adam stanęli w drzwiach, wyszedł im naprzeciw niski ruchliwy mężczyzna, podprowadził ich do stolika i podsunął kartę. Prezentowała się ona tak okazale, że Adam był zaskoczony, nie spodziewając się czegoś takiego po małej restauracji w mieście leżącym z dala od metropolii.

— Na końcu jest lista win — rzekł Gaspard, patrząc odrobinę nieufnie na proste odzienie Adama. Miał z lekką francuski akcent. Adam studiował kartę, a właściciel stał obok podkręcając wąża.

— Właśnie dzisiaj dostaliśmy świeżą rybę — rzucił tonem zachęty, a gdy Adam zestawił menu, wyraził szczerzy zachwyty.

— Nie można było lepiej wybrać. Pieczona ryba z nadzieniem według mojego specjalnego przepisu i lekki zielony sos... Na pewno będą państwo zadowoleni.

Gdy Adam zamówił jeszcze wino, Gaspard nie posiadał się ze zdumienia.

— Ja sam bym lepiej nie wybrał. W tej okolicy mało jest znawców win. Obsługiwanie państwa to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Z tymi słowy skłonił się i zniknął.

Celia przyglądała się w milczeniu całej scenie.

— Ależ go ująłeś. Nawet nie przypuszczałam, że jesteś takim koneserem — rzekła zdziwiona.

Adam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ja też nie. Prawdopodobnie to przypadek.

Nie, to nie przypadek, myślała Celia. Jego sposób zachowania, wybór menu — wszystko wskazywało na to, że przed wypadkiem zwykł odwiedzać renomowane restauracje. Nawet proste odzienie nie mogło tu nikogo zmylić. Po prostu wyjątkowo pasował do tego, a pewnie i elegantszego otoczenia.

Gdy Gaspard przyszedł z butelką wina, zmierzchało już, zapalił więc świece na stole i nalał nieco wina do kieliszka Adama. Adam upił łyk i skinął głową. Było doskonałe.

Gaspard krążył wokół, podsuwając im dania i przystawki, i wyglądało na to, że jest w siódmym niebie, tym bardziej że Celia i Adam nie szczędzili pochwał. Kieliszek Celi i pozostał prawie pełny, czuł się więc niemal dotknięty, ledwie go udobruchała wyjaśnieniem, że prowadzi.

— Podobało ci się chyba — powiedział Adam, gdy znaleźli się na ulicy. — Jeszcze nigdy nie widziałem ciebie tak roześmianego jak dziś wieczór.

— Czuję się jak księżniczka, tak się o mnie troszczyliście. Nie jesteś aby z czarowanym księciem?

Ze śmiechem podał jej ramię.

— Nieźle by to było! Ale w takim wypadku wolałbym mieć więcej złota przy sobie.

Wzrok Celi i powędrował znowu do jego pierścienia. Nagle przystanęła pukając się w głowę.

— Że też wcześniej o tym nie pomyśleliśmy! Twój pierścień! Może właśnie dzięki jego niecodzienności będzie można dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Jubiler na pewno ma jeszcze otwarte. Chodźmy do niego i zapytajmy.

Adam wprawdzie usłuchał, ale raczej dlatego, że nie chciał jej robić przykrości. Na zachwyconego nie wyglądał.

— Nie jestem odpowiedzialny za to, co będzie, gdy jubiler znajdzie gdzieś stempel „Made in Hongkong”.

Właściciel sklepu pośpieszył im naprzeciw. Obrączki ślubne zawsze były dobrym interesem, a tych dwoje wyglądało tak, jakby zamierzali je kupić.

— Proszę rzucić okiem na tę rzecz — Adam ściągnął pierścień z palca. — Może mógłby go pan dla nas... wycenić.

Nadzieje jubilera rozwiały się. Nic z lukratywnego

interesu tuż przed zamknięciem sklepu! Podszedł do stołu, wyjął lupe i oglądał pierścień długo, z uwagą, pod bardzo mocną lampą.

Adam i Celia przyglądali się w milczeniu.

Gdy jubiler podniósł głowę, jego twarz miała pełen respektu wyraz.

— Lite złoto — rzekł. W jego głosie pobrzmiwało zdumienie. — A oba kamienie mają wielką wartość. Jeśli miałbym go od państwa odkupić, musiałbym się najpierw poważnie zastanowić. Taką kosztowną rzecz trudno sprzedać.

Adam i Celia spojrzeli po sobie oszołomieni. Adam wziął z ręki jubilera pierścień i oddaliwszy go nieco od siebie, obejrzał dokładnie ze wszystkich stron, jakby widząc go po raz pierwszy.

— Może nam pan coś więcej powiedzieć? Na przykład kto go wykonał?

— Niestety nie. Pierwszorzędna robota, lecz nie umiem ustalić, z jakiej pracowni pochodzi. A co do wygrawerowanego napisu, to chyba państwo wiedzą więcej na ten temat.

Napis! Jak na komendę pochylili się nad pierścieniem. Adam obracał go w świetle lampy, aż wreszcie zdołali odczytać:

Memu najdroższemu w dowód miłości, Lydia

— Dziękuję. — Głos Adama był schrypnięty. Co prędzej schował pierścień do kieszeni i chwycił Celię za rękę.

W milczeniu szli do samochodu. Lydia! Lydia! W głowie Celi dzwięczało to jedno imię. Dawno już nie była tak smutna.

Otwierając drzwi samochodu nagle przemówił.

— Nie mam pojęcia, kim jest ta Lydia.

Twoja ukochana, myślała Celia walcząc z napływającymi do oczu łzami. Narzeczona... albo nawet żona!

Na szczęście było ciemno i Adam nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Właściwie powinna się cieszyć, że

zasłona spowijająca jego przeszłość uniosła się nieco. Ostatecznie trudno było myśleć poważnie, że taki przystojny mężczyzna żył na bezludnej wyspie, dopóki nie wylądował u jej stóp na plaży. Czy nie byłoby lepiej, gdyby ta ciemność rozjaśniła się szybciej? Lepiej dla wszystkich — i lepiej dla niej?

Milcząc jechali w noc. Każde z nich było zatopione w myślach, a myśli te nie mogły być udziałem drugiego.

Celia zatrzymała samochód przed domem i wysiadła nie oglądając się na Adama. Olbrzymi księżyc wisiał tak nisko nad powierzchnią morza, że woda wydawała się płynnym srebrem. Fale biły cicho o brzeg.

Stali bez słowa naprzeciw siebie. Nagle Adam wyciągnął obie ręce i przyciągnął Celię do siebie.

— Celio — wyszeptał tuż przy jej uchu — moja słodka Celio...

Zadrżała czując jego wargi na swoich. Dawno zapomniane odczucia powróciły ze wzmożoną siłą, ciałem wstrząsnął dreszcz.

Miała szaloną ochotę bez reszty zatracić się w jego ramionach, odwzajemnić pocałunek — lecz naraz przypomniał się jej pierścień. Nie wolno jej! Adam nigdy nie będzie do niej należał! Gdzieś w dali jest przecież Lydia, mogąca każdego dnia zacząć dochodzić swych praw, a Adam, Adam odzyska pamięć i ją opuści. Opuści na zawsze!

— Adam ... nie... proszę...

Z trudem przyszło jej wyzwolić się z jego objęć, ale musiała to zrobić.

— Nie wolno nam... — szepnęła z rozpaczą. — Pomyśl o Lydii...

Zostawiła go samego i pędem wpadła do swego pokoju, gdzie rzuciła się łkając na łóżko.

3.

Następnego ranka Celia wyszła dopiero wtedy z pokoju, gdy nabrała całkowitej pewności, że przy śniadaniu nie będzie musiała siedzieć naprzeciwko Adama.

Ciocia Meg natychmiast zauważyła podkrążone oczy siostrzenicy. Śmierć Gavina należała do przeszłości i podczas ostatnich tygodni stara kobieta nabrała nadziei, że dzięki Adamowi dziewczyna zdołała pogodzić się ze stratą. Co spowodowało, że śmierć narzeczonego znów odżyła w jej wspomnieniach? Głowiła się nad tym nie mając pojęcia, że smutek Celi tym razem nie ma nic wspólnego z tamtą tragedią.

Upał już zaczynał się dawać we znaki, choć właściwie jeszcze było dość wcześnie. Celia zawahała się, zanim otworzyła wrota obory. Nie zaskoczyło jej to, że obora była pusta i uprzątnięta, w duchu spodziewała się tego. Adam sam uporał się z całą robotą, aby darować jej dłuższy sen.

— Adamie — szepnęła — mój drogi Adamie...

Natychmiast jednak przywołała się do porządku. Cóż znowu takiego się stało?! Pocałunek mężczyzny, który przecież nie miał pozostać na zawsze na farmie i raczej należało się spodziewać, że szybko zapomni o niej, gdy wróci do swego środowiska.

Starając się nie myśleć o nim poszła do ogrodu. Nagle dobiegł ją warkot ciągnika. Prowadził Bert, a Adam królował na stercie siana. Widocznie dokonali naprawy,

gdy jeszcze spała, i zrobiło jej się wstyd, że nie była przy tym.

Bert zatrzymał się przy przenośniku i Adam natychmiast zeskoczył na ziemię. Widząc Celię szybko umknął spojrzeniem, mało tego, odniosła wrażenie, iż lekko się zaczerwienił.

— Zostań tutaj, Celio — rozkazał wujek. — Ja idę z Adamem na górę pokazać mu, jak się prawidłowo układa bele, aby w ziemie nie spadały na głowę, gdy się otworzy wrota stodoly.

Adam był chyba rad, że nie będzie musiał przebywać w pobliżu Celii, a ona też nie byłaby zachwycona pracując w nim ramię w ramię, choć hałas praktycznie uniemożliwiał wszelką rozmowę. W mgnieniu oka wdrapała się na przyczepę i zaczęła zrzucać bele na przenośnik. Co prawda bele nie były tak ciężkie, jak by sugerowała ich wielkość, ostatecznie jednak była to wyczerpująca praca i wkrótce zabolowały ją wszystkie mięśnie. A przecież wiele dałaby za to, aby siana było choć dwa razy tyle. Dopóki ciężko pracowała, nie potrzebowała przynajmniej myśleć, wszystko jedno, o Gavinie czy o Adamie.

Do obiadu udało im się rozładować jeszcze jedną przyczepę. Tym razem również Celia pojechała na łąkę i we trójkę poszło im znacznie szybciej.

Na obiad była wspaniała zupa jarzynowa z mięsem. Do tego Meg podała świeżo upieczony chleb i ostudzoną herbatę. Adam jadł za dwoje, gdy tymczasem Celia z trudem przełknęła kilka łyżek. Nikt nie usiłował podtrzymać rozmowy, i tak siedzieli w milczeniu wokół stołu, każdy zajęty swymi myślami.

Jeszcze jeden powrót z przyczepą pełną siana — i skończyli z górną łąką. Bert z miejsca zaczął przygotowywać kosiarkę, zamierzając zabrać się do drugiej łąki. Adam nie odstępował od jego boku, każąc sobie dokładnie tłumaczyć, jak funkcjonuje maszyna. Celia miała wrażenie, iż świadomie schodzi jej z drogi, zdawała sobie jednak

sprawę, że w którymś momencie musi dojść do rozstrzygającej rozmowy.

Dopiero po kolacji nadarzyła się po temu okazja. Stała właśnie pod swym ulubionym klonem, gdy nagle usłyszała za sobą kroki.

— Celio!

Drgnęła i odwróciła się do Adama.

— Przykro mi... z powodu wczorajszego wieczoru.

— Dlaczego? Nic takiego się nie stało.

Mówiąc te słowa uczuła, że się rumieni. Spuściła głowę. Przez moment milczeli, wreszcie Adam ujął ją za ramiona i zmusił, by na niego spojrzała.

— Naprawdę nie ma to dla ciebie znaczenia? — spytał ochryłym głosem. — Powiedz, proszę.

Jeszcze mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach, gdy ponownie spuściła głowę nie odpowiadając.

— No cóż, wydaje mi się, że czego się tknę, to wszystko wychodzi nie tak. — Cofnął się. — A przecież ja chciałem tylko, żeby twe oczy znowu błyszczały, a tymczasem są jeszcze smutniejsze. Zresztą masz rację. Co cię może obchodzić mężczyzna, który nie wie, kim jest i skąd pochodzi? Wybacz. Celio. To się już nigdy nie powtórzy.

— Ja... — zaczęła.

— Nie — przerwał zdecydowanie Adam — a przynajmniej tak długo nie, zanim nie odzyskam swojej tożsamości.

Gwałtownie odwrócił się i odszedł. Celia patrzyła w ślad za nim. Przynajmniej tak długo... Te słowa uparcie dźwięczały w jej głowie, a promyk nadziei wywołał szybsze bicie serca. Usiadła na trawie, błędząc wzrokiem po powierzchni morza.

— Bądź rozsądna, Celio — szeptała cicho sama do siebie. — To przecież nie ma sensu. Taki mężczyzna jak Adam na pewno nie był samotny jak palec i wcześniej czy później zjawi się tu Lydia...

Nagle przypomniała sobie, jak człowiek ze straży brze-

gowej cierpliwie jej tłumaczył, że nie ma żadnej nadziei na odzyskanie Gavina. Nie, to nie może się powtórzyć... Ból z powodu ukochanego, którego się utraciło — nie, za nic na świecie nie chciała tego ponownie przeżywać!

Kiedy następnego ranka wstała po niespokojnej, pełnej koszmarnych snów nocy, podeszła najpierw do starej komody. Przez moment jeszcze się wahała, po czym ściągnęła pierścionek zaręczynowy z palca, włożyła go do małego pudełka, a pudełko wsunęła w najdalszy kąt szuflady. Po śniadaniu nakarmiła cielęta i wygnała krowy na pastwisko. Wracając usłyszała metaliczny odgłos nadjeżdżającej kosiarki. Osłoniła ręką oczy, usiłując z tej odległości dojrzeć, kto siedzi za kierownicą. Adam miał smykałkę do takich rzeczy, więc kto wie, czy już nie zdołał osiągnąć i tej sztuki. Wujek Bert na pewno mu pokazał, na co powinien uważać najbardziej.

Upał stawał się nie do zniesienia. Nagle na niebie pojawiły się chmury i ściemniło się tak nieprawdopodobnie szybko, że obaj mężczyźni zdążyli co prawda odstawić kosiarkę do szopy, ale do domu biegli już w strugach deszczu.

Z Adama włosów kapało, gdy wszedł do kuchni.

— Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko lunie — rzekł sięgając po ręcznik.

Meg zaparzyła kawy i gdy tak siedzieli przy wielkim kuchennym stole, Bert snuł plany.

— Dziś już nic nie zrobimy — stwierdził — nawet jeśli deszcz ustanie. Ale i tak jest dość roboty. Trzeba naostrzyć noże kosiarki, wytoczyć z szopy beczkę z paliwem, silnik ciągnika też pozostawia wiele do życzenia.

Adam spojrzał prosząco na niego.

— Może mógłby mi pan...

— Oczywiście — nie dał mu dokończyć Bert. — Dziś rano doskonale sobie radziłeś z kosiarką. Pokażę ci, jak się zmienia noże.

Celia uśmiechnęła się do siebie. Adam nie miał pojęcia, co go czeka. Nie było chyba nudniejszego zajęcia niż ostrzenie. Ciekawość nie pozwoliła jej usiedzieć na miejscu, poszła więc za mężczyznami do szopy, gdzie w rogu urządzony był mały składzik części zapasowych.

Deszcz właściwie przestał już padać, a zza chmur nieśmiało zaczęło przedzierać się słońce. Krople deszczu na liściach i źdźbłach trawy skrzyły się jak diamenty, a powietrze pachniało świeżością.

Gdyby nie było Adama, wujek na pewno zawołałby ją do pomocy, aby coś przytrzymała lub wkręciła swymi szczupłymi palcami jakąś małą śrubkę. Ponieważ jednak miał Adama, nie była mu potrzebna, poszła więc do ogrodu, aby rozejrzeć się, co jest tam do zrobienia.

Nagle usłyszała krzyk Berta. Na ułamek sekundy stanęła jak wryta, po czym rzuciła się jak opętana w kierunku szopy. Ciężka stalowa półka, na której wujek trzymał beczki z paliwem, obluzowała się z jednej strony i Bert musiał wyteżyć wszystkie siły, aby utrzymać ją w równowadze i nie dopuścić do stoczenia się beczek.

Adam natychmiast znalazł się przy nim i podtrzymał półkę krzycząc jednocześnie do Celii:

— Odciągnij go na bok, szybko, na miłość boską!

Przerażona chwyciła wujka za rękę i pociągnęła za sobą z taką siłą, że kilka kroków dalej potknęli się równocześnie i upadli — dokładnie tam, gdzie potoczyłyby się beczki, gdyby nie błyskawiczna interwencja Adama.

To co później nastąpiło, rozegrało się tak szybko, że Celii z trudem przyszło odtworzenie kolejności wypadków. Adam puścił półkę, błyskawicznie uskakując w bok, tak że beczka oparła się o jego szeroką pierś. Zanim stracił równowagę, zdążył jeszcze zmienić jej kierunek. Potoczyła się w róg szopy i tam utknęła.

Celia i Bert przyglądali się temu oniemiałi.

— Do stu piorunów! — odzyskał wreszcie głos Bert. —

Ależ jesteś silny. Zwyczajnie trzeba dwóch mężczyzn, by to świństwo podnieść.

Adam rozcierał sobie bolące palce.

— Przecież nie mogłem dopuścić, żeby potoczyła się na pana — rzekł cicho. — Albo na Celię...

Nieśmiało spojrział w jej stronę, gdy jednak ich oczy się spotkały, natychmiast odwrócił wzrok.

Bert usiłował wstać, niestety opadł z głośnym jękiem z powrotem na ziemię.

— Co ci, wujku? — przyskoczyła do niego Celia.

— O Boże... myślę, że coś sobie zwichnęłam. Nie mogę wstać. Już raz mi się to zdarzyło, gdy byłaś w mieście w szkole. Zawołaj ciotkę.

Celia popędziła w kierunku domu. Nie napisali jej wtedy o tym wypadku! Jak zwykle nie chcieli obciążać siostrzenicy swymi problemami.

Meg pośpieszyła na pomoc z tyłoma poduszkami, ile tylko zdołała objąć.

— Ostatnim razem leżał całe trzy tygodnie — lamentowała. — Takie nieszczęście, i to w czas sianokosów!

Uklękła obok Berta.

— Zadzwońiłam po doktora. Powiedział, że nie wolno ci się ruszać, dopóki nie przybędzie. Kto wie, co tym razem sobie zrobiłeś...

Nie wytrzymała jednak długo przy mężu. Podniosła się i zaczęła nerwowo krążyć po szopie, dopóki Adam przyjaźnie, lecz zdecydowanie nie chwycił jej za rękę.

— Niech się pani uspokoi, pani Walton. Lekarz zaraz tu będzie. I proszę się nie kłopotać.

W chwilę potem usłyszeli nadjeżdżający samochód. Adam wyszedł naprzeciw.

— Cóż to, Bert, znów coś zmajstrowałeś? — zagadnął doktor Morgan swego pacjenta. — Niedługo założę u was na farmie filię gabinetu lekarskiego!

Bert próbował się uśmiechnąć.

— Plecy. Jak zesłym razem. A i tak miałem cholerne szczęście. Gdyby nie Adam, ta beczka prawdopodobnie by mnie zabiła.

Doktor Morgan kazał sobie opowiedzieć wszystko po kolei, po czym spojrział na Adama i uśmiechnął się.

— Przynosi wam szczęście, nie ma co mówić — rzekł kręcąc głową. — Dobrze, że tutaj właśnie morze wyrzuciło go na brzeg.

— Tak, to prawda — potwierdził Bert i mimo że musiało go bardzo boleć, na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech. Powoli przeniósł wzrok z Adama na Celię, ona zaś uparcie wpatrywała się w czubki swych sandałów, mając nadzieję, że nikt nie zauważy jej rumieńca.

Lekarz dokładnie zbadał plecy Berta, po czym odczekał chwilę, aby bez uprzedzenia uderzyć go z całej siły pięścią w stos pacierzowy.

— Czyś ty zwariował?! Chcesz mnie zabić?! — wrzasnął Bert.

Doktor roześmiał się tylko i siłą przytrzymał Berta, gdy ten ponownie usiłował wstać.

— Ile razy mam ci powtarzać, żebyś się nie ruszał? Zwichnięcie to nie wszystko. Oberwałeś się w krzyżu, więc lepiej już w tej chwili zacznij się oswajać z myślą, że następne tygodnie spędzisz w łóżku.

— W łóżku?! O tej porze roku?!

Bert poderwał się, zaraz jednak opadł z powrotem na poduszki. Doktor obserwował go zza okularów.

— Jeśli nie przestaniesz się buntować, jeszcze pogorszysz całą sprawę — powiedział z kamiennym spokojem. — Już i tak będzie ciężko przenieść cię do domu.

Zastanawiano się wspólnie, jak to zrobić. Meg chciała sporządzić prowizoryczne nosze, Celia proponowała, aby położyć wujka na przyczepie i podwieźć pod dom, lecz te pomysły okazały się do niczego, bo Bert jęczał z bólu przy najmniejszej próbie dotknięcia. Zdesperowani stali wokół

poszkodowanego. Adam zdawał się namyślać, po czym zaczął:

— Jeśli tylko zdołam go unieść...

— O tym nie ma mowy — przerwał kategorycznie doktor Morgan. — Do samego domu jest ładnych parę metrów, a potem jeszcze na górę...

— Zrobi się — Adam powziął decyzję.

Schylił się nad starym człowiekiem i wsunął ostrożnie ręce pod jego plecy. Bert cicho jęknął. Adam zamarł przerażony.

— Na Boga, Adamie, biegnij prędko — wyjęczał Bert. — Ani w połowie tak nie boli jak wtedy, gdy próbowaliście mnie unieść we dwójkę. Myślałem, że mnie rozerwiecie.

Adam powolutku się wyprostował. Poprzedzany przez Celię, która miała otwierać drzwi, krok za krokiem wstępował ze swym ciężarem po schodach. W kilka minut potem Bert leżał już w łóżku. Doktor Morgan stał obok.

— No cóż, przyjacielu, teraz przyjdzie ci się ćwiczyć w cierpliwości. Przynajmniej przez miesiąc nie wolno ci wstawać, zrozumiałeś?

— Przez miesiąc? — jęknął głucho Bert i zakrył twarz dłońmi. — A tu tyle roboty...

— Niech się pan nie martwi — rzekł spokojnie Adam, rzuciwszy okiem na Celię. — My to wszystko zrobimy.

— Ale ty jesteś dopiero od niedawna na farmie — zastanawiał się głośno Bert. — Jest całe mnóstwo rzeczy, o których nie wiesz...

— Na pewno nie uniknę błędów, lecz przecież będę miał przy sobie Celię. Ona będzie moim instruktorem, a ja postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy.

Bert zdawał się namyślać, wreszcie utkwiał badawczy wzrok w Adamie. Czy ten człowiek o delikatnych dłońniach, które w ostatnich dniach tak ucierpiały od ciężkiej pracy, potrafi pomóc Celi, szczególnie teraz, w czas sianokosów?

— Dobrze więc — westchnął — zobaczmy.

Meg zajęła się mężem, a Celia i Adam odprowadzili doktora do samochodu.

— Nie jest z nim aż tak źle — rzekł. — Najważniejsze jest to, żeby nie wstawał z łóżka, zanim nie powiem, że może to zrobić. Facet jest uparty jak osioł, ale tym razem musi się pilnować, nic innego mu nie pozostaje.

— Ciocia Meg i ja będziemy czuwały, żeby stosował się do pańskich wskazówek — zapewniała Celia.

— I postarajcie się nie mówić mu zbyt wiele o kłopotach — rzucił już z samochodu. — Za wszelką cenę będzie chciał wziąć sprawy w swoje ręce, gdy usłyszysz, że coś jest nie tak.

— Wszystko będzie w porządku.

Głos Adama brzmiał tak spokojnie i przekonywająco, że Celia nie umiała ukryć swego podziwu. Wprost emanowała z niego siła, dosłownie porywając za sobą. Ona, Celia, najlepiej wiedziała, ile na nich czeka pracy. Graniczyłoby to nieledwie z cudem, gdyby zdołali wszystkiemu podołać. A mimo to nie bała się. Adam natchnął ją myślą, że we dwoje na pewno dadzą sobie radę.

Utkwiła wzrok w morzu. Powietrze po deszczu pachniało, fale z uspokajającą regularnością biły o brzeg. Adam stał milcząc obok niej. O czym w tym momencie myślał? Może próbował przeniknąć mgłę, którą spowita było jego przeszłość?

Celia pierwsza się ocknęła.

— Muszę przygonić krowy.

Nie odpowiadając ruszył za nią. Wybrała krótszą drogę wzdłuż plaży. Piasek ciągle jeszcze był mokry po deszczu, mimo to brnęła w nim z przyjemnością, nie uciekając przed falami, które przyjaźnie toczyły się do jej stóp. Wydawało się, że zawarła pokój z morzem. Kiedyś, po śmierci Gavina, patrzyła na nie jak na wroga. To prawda, morze zabrało jej, co miała najdroższego, ale czyż nie dało jej mężczyzny, mężczyzny emanującego ciepłem i spoko-

jem, który tak wiele dla niej znaczył, choć nic o nim nie wiedziała?

Krowy skupiły się przy ogrodzeniu, gotowe wrócić do obory. Jedna za drugą stąpały ociężałe ścieżką wiodącą do domu zostawiając głębokie ślady w rozmiękłej ziemi.

W oborze Adam natychmiast wziął się bez słowa do roboty, jakby to było oczywiste. Celia też milczała, wykonując machinalnie czynność po czynności. Wyglądało na to, że obawiają się przejść od tematu pracy do spraw osobistych. Celowo też chyba unikali patrzenia na siebie.

W końcu bańki z mlekiem znalazły się w chłodni, dojarka była umyta, a wiadra i łopaty stały uporządkowane w kącie.

— Koniec na dziś — przerwał wreszcie milczenie Adam. — Jak myślisz, podołamy tej całej robocie?

Tym razem zebrała się na odwagę i spojrzała mu w oczy.

— Jestem pewna, że nam się to uda.

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu, kiedy zaś sięgnął obu rękami do włosów, by je przygładzić, zauważyła, że nie nosi pierścienia.

Następnego ranka wstała bardzo wcześnie. Tryskała energią, wszystko w niej wprost rwało się do pracy.

Adama zastała w oborze. Jemu też robota paliła się w rękach i gdy na podwórze wtoczył się samochód z mleczarni, bańki z mlekiem czekały już na odbiorcę.

Po śniadaniu poszli do Berta. Bóle nie dawały mu się już tak we znaki, więc, nienawykły do leżenia w łóżku, tęsknie spoglądał w kierunku rozświetlonego słoncem okna.

— Przekłete plecy — zaczął narzekać. — Taka pogoda, a ja muszę tkwić tutaj.

— Celia i ja zamierzamy właśnie zabrać się za drugą łąkę.

— Ale...

— Wiem, co pan chce powiedzieć — Adam nie dał Bertowi dojść do słowa. — Uważnie przyglądałem się, jak pan obsługiwał kosiarkę, i teraz spokojnie będę mógł to robić sam.

— Poczekajmy lepiej. Za parę dni na pewno wstanę...

— Nie ma mowy — wmieszała się głosem nie znoszącym sprzeciwu Meg. — Przecież wiesz, co powiedział doktor. Powinieneś się tego trzymać.

— Co tam doktor! Popatrzcie, jak... Auu!

Próbował się unieść, lecz na próżno, z jękiem opadł na poduszki.

Meg natychmiast znalazła się przy nim.

— Doktor miał rację. Raz wreszcie nauczysz się cierpliwości.

Celia pochyliła się nad Bertem ujmując go za rękę.

— Wujku, musimy zacząć dziś, bo inaczej siano nie będzie już miało tej wartości. Jestem pewna, że Adam poradzi sobie z maszyną.

Bert spojrział ponad nią na Adama i westchnął poddając się.

— Nie podchodźcie tylko za blisko do tych cholernych noży, bo to się może źle skończyć.

Słowa Berta długo nie dawały spokoju Celi. Wierzyła co prawda w zręczność Adama, dobrze jednak wiedziała, że wujek ma rację. Zawsze mógł się zdarzyć wypadek...

Starając się przegnać złe myśli otworzyła wrota obory i wypędziła krowy. W drodze na pastwisko myślała cały czas o Adamie. Do tej pory widziała w nim tylko dobrze się prezentującego, przystojnego mężczyznę, który bawił jakby przelotnie na farmie. Teraz miał on przejść obowiązki gospodarza, a ona, Celia, miała mu służyć pomocą. I tyle było pracy przed nimi!

Nagle przypomniał się jej pierścień. Adam od pewnego czasu go nie nosił. Co będzie, jak któregoś dnia zjawi się na farmie Lydia? Zdjął ją lęk, a zaraz potem wielki smutek.

Próbowała się otrząsnąć. Adam pierścień mógł otrzymać w spadku, a tajemnicza Lydia mogła być jego babką albo nawet prababką. Przy inskrypcji nie było daty, dlaczego więc nie miałyby być właśnie tak? Rozpaczliwie chciała w to uwierzyć.

Gdy wracała, od strony łąki dobiegł ją warkot ciągnika. Wpadła w panikę. Przecież Adam jeszcze nigdy nie obsługiwał sam kosiarki!

— Adam! — krzyknęła zdjeta trwogą. — Adam, uważaj! Ty nie wiesz...

Nie usłyszał jej, słowa zagłuszała bowiem głośnie praca silnika. Rzuciła się w jego kierunku, lecz właśnie w tym momencie zaczęła pracować kosiarka. Martwiła się bez powodu, nie doceniwszy Adama! Odetchnęła z ulgą i skryła się za pień drzewa, gdzie nie mógł jej dojrzeć. Przyglądała mu się, jak prostował się na siodelku, bacząc zarazem, czy zostawia za sobą równe rzędy skoszonej trawy. Nawet przy skręcie prowadził ciągnik tak zręcznie, że farmer z długoletnim doświadczeniem lepiej by nie potrafił. Adam z pewnością nie miał okazji przywyknąć do pracy w polu, był za to doskonałym kierowcą. Ale czym jeździł wcześniej? Podejrzewała, że zgrabnymi wozami sportowymi lub ciężkimi limuzynami.

Jeszcze raz rzuciła na niego okiem, po czym wycofała się do ogrodu. Nie potrzebowała się obawiać. Zamiast biegać z lękiem za nim, lepiej było od razu zająć się grządkami, gdzie po deszczu na powrót rozpleniły się chwasty. Pieląc co chwilę podnosiła głowę, jakby nie mogła się dość napatrzeć jasnowłosemu mężczyźnie pracującemu kilkaset metrów dalej.

W którymś momencie doszedł ją zapach świeżo skoszonej trawy. Zamknęła oczy, z rozkoszą wdychając powietrze. To były chwile, dla których za nic w świecie nie zrezygnowałaby z życia na wsi!

Przez całe popołudnie trawa schła w palących promie-

niach słońca, a na drugi dzień była na tyle sucha, że przyszedł czas na uruchomienie prasy.

Adam już o świcie znalazł się w szopie, przygotowując maszyny do wyjazdu w pole. Celia nieraz słyszała przekleństwa wujka, gdy nie od razu udało mu się podłączyć prasę do ciągnika. Tym razem odbyło się to szybko, bez żadnych komplikacji, a przy tym wyjątkowo spokojnie.

Pojechała z Adamem na łąkę sprawdzić, czy prasa dobrze działa, a że nie znalazła błędu w jej funkcjonowaniu, podniosła z ziemi garść siana, aby zanieść je do oceny Bertowi. To on miał zdecydować, czy nadaje się już do sprasowania.

— W porządku — potwierdził stary mężczyzna, złamawszy kilka źdźbeł stwardniałymi palcami.

— Zaczniemy więc, panie Walton — rzekł z uśmiechem Adam.

Celia była prawdziwie podekscytowana, gdy podjechali do pierwszego rzędu pokosu. Włączyli prasę. Zęby grabi wysunęły się wciągając siano. Adam odbierał belę po beli i precyzyjnie je układał.

Pracowali tak bez przerwy aż do obiadu. Także po południu robota szła jak się patrzy. Prasa, mimo iż stara, pracowała równo, bez zrywów, oni zaś byli już tak zgrani, że nie trzeba im było słów, by się porozumieć. Celia siedziała za kierownicą, a Adam w prażącym słońcu niezmordowanie odbierał bele i układał.

Pod wieczór zrobili małą przerwę. Pili wodę źródlaną, pozostawioną przezornie w cieniu drzewa. Meg proponowała im lemoniadę, sok pomarańczowy albo zimną herbatę, lecz Adam obstawał przy tym, by wziąć wodę, zdążył ją bowiem wyjątkowo polubić.

— Wspaniała — rzekł ocierając wierzchem dłoni usta. — Nic lepiej nie gasi pragnienia.

Nabrał jeszcze łyk wody i wydmuchał ją spryskując sobie w ten sposób twarz, po czym rozciągnął się na świeżo skoszonej trawie i zamknął oczy. Celia nie mogła

oderwać od niego wzroku. Jego skóra nabrała tego odcienia opalenizny, którą uzyskuje się tylko pracując ciężko na słońcu, a włosy wydawały się przy niej jeszcze jaśniejsze.

Tak się zapatrzyła, że nie zdążyła umknąć spojrzeniem, gdy na powrót otworzył oczy. Coś jakby nieme pytanie zjawiło się na jego twarzy. Poderwał się, zrobił krok w kierunku dziewczyny, zaraz jednak zatrzymał się patrząc jej przeciągle w oczy.

Upłynęła długa chwila.

— Zabierzmy się lepiej do pracy — rzekł zduszonym głosem odwracając się. — Musimy przecież się z tym uwinąć do kolacji.

Kiedy wrócili do domu, Adam był opanowany jak zawsze, Celia natomiast uparcie wracała myślą do momentu, którego miała nigdy nie zapomnieć. O mały włos nie wziął jej wtedy w ramiona, była tego pewna. Owszem, sama chciała, by zachowywał się wobec niej powściągliwie, ale...

Cały wieczór minął jej jak we śnie.

4.

Drugiego dnia Adama rozpierała jeszcze większa energia. Co prawda czas było zwozić siano, ale słońce tak prażyło z bezchmurnego nieba, że jego wzrok nieustannie wędrował w stronę nie skoszonych do tej pory łąk.

— Czy nie lepiej byłoby teraz zabrać się za koszenie, a siano zwieźć później? Trawa by się tak nie przesuszyła...

— Owszem... jest w tym sporo racji. Ale wujek Bert zawsze najpierw kosi jedną łąkę i zwozi z niej siano, a potem dopiero zabiera się do drugiej. Wtedy jest pewien, że niespodziewany deszcz nie pokrzyżuje mu planów.

— Tego naprawdę nie musimy się obawiać — oponował Adam. — Spójrz tylko na niebo, nie ma na nim cienia chmurki. Na pewno jeszcze kilka dni będzie upalnie i słonecznie. Czyż nie ma przysłowia u farmerów: Skwar w południe, ranne rosy to udane sianokosy?

Celia nie była do końca przekonana. Z jednej strony lękała się ewentualnego deszczu, który uniemożliwiłby szybką zwózkę, z drugiej jednak naprawdę istniało niebezpieczeństwo, iż niemiłosiernie palące słońce przesuszy trawę i straci ona na wartości.

Skończyło się na tym, że zaraziła się od Adama chęcią czynu, skosili więc wspólnie dwie łąki i odczekawszy, aby pokos przesechł, za pomocą prasy przygotowali bele do zwiezienia.

Gdy Bert dowiedział się o tym, dał wyraz swemu niezadowoleniu.

— Wystarczy, że teraz zacznie padać, a całe siano z trzech łąk diabli wezmą! — biadolił.

— Na razie na deszcz się nie zanosi — bronił swego Adam.

— Zdążymy zwieźć całe siano, zanim na niebie pojawi się pierwsza chmurka.

Następnego ranka zaczęła się zwózka. Niestety, godziny umykały o wiele za szybko i gdy nadszedł wieczór, wcale nie wyglądało na to, że bel ubyło. Dopiero nazajutrz wieczorem mogli zameldować Bertowi, że udało im się zwieźć prawie połowę siana.

Trzeciego dnia pogoda wyraźnie się zmieniła. Już wcześniej rano powietrze było ciężkie, duszne, bez śladu wiatru, a niebo zamglone, choć na razie nie pojawiły się jeszcze na nim chmury.

Meg stanęła w otwartych drzwiach kuchni wycierając ręce o fartuch i patrzyła badawczo na morze.

— Na pewno będzie burza — stwierdziła. — Popatrzcie na horyzont.

Rzeczywiście, niebo i morze wydawały się na horyzoncie zlewać w jedno, dzieliła je tylko wąska purpurowa smuga podobna do potężnej rany.

Zasępiony Adam spojrział w tym kierunku, a następnie przeniósł wzrok na łąki. Po raz pierwszy na jego twarzy odmalowała się troska.

— A ja byłem taki pewien, że nam się uda — westchnął. — Lepiej było posłuchać Celi. Jeśli rzeczywiście zacznie padać, zanim zwieziemy wszystko siano, nie odważymy się pokazać na oczy pani mężowi.

Celia położyła uspokajająco dłoń na jego ramieniu.

— Pośpieszmy się, a może uda nam się skończyć przed deszczem. Jestem przekonana, że rozpada się dopiero wieczorem.

Adam spojrział na nią i nagle jego twarz się rozjaśniła.

— W porządku — zawołał chwytając ją za rękę. — Idziemy.

W chwilę później Meg usłyszała warkot ciągnika.

W niezdolnie dusznym powietrzu i przy narastającym upale Celia i Adam pracowali jak opętani. Jeszcze nigdy nie udało im się tak szybko załadować przyczepy, a już byli pod stodołą. Gdyby Bert widział, ile siana zabierają na raz, na pewno z przerażenia włosy zjeżyłyby mu się na głowie, im jednak szczęście zdawało się sprzyjać i nawet jedna beła nie spadała.

Celia pracowała przy przenośniku, Adam zaś tkwił pod rozpalonym dachem stodoły odbierając i układając beły. Ona przynajmniej była na powietrzu, choć upał stał się nie do zniesienia, a przy tym nie wiała nawet najmniejsza bryza, gdy tymczasem w stodole unosiły się tumany kurzu i aż dech zapierało z gorąca.

Nic dziwnego, że Adam wyszedł zlany potem i w pierwszym rzędzie obmył sobie pod ogrodowym kranem twarz i ramiona zimną wodą. W chwilę potem znowu byli na łące. W takim tempie pracowali aż do obiadu. Meg przygotowała tylko kanapki i wielki dzban zimnej herbaty, gdyż na obfity posiłek było za gorąco.

— Powinniście jednak robić dłuższe przerwy — rzekła z troską, gdy Adam poderwał się, ledwie przełknąwszy ostatni kęs — bo inaczej dostaniecie udaru.

Adam zajrzał w rozognioną twarz Celi.

— Ciocia ma rację, chyba jednak trochę przesadziliście. Musisz...

— Mowy nie ma — przerwała mu wstając. — Nie jestem zmęczona.

Wyszła za nim na dwór i wdrapała się na siodełko ciągnika. Było tak rozgrzane, że wręcz parzyło. Purpurowa smuga na horyzoncie stała się szersza, nieomylny znak, że musieli się śpieszyć.

W milczeniu wzięli się na powrót do roboty. Było tak duszno, że oddychanie sprawiało prawie że ból, nie mówiąc już o czym innym, i tylko ich spojrzenia spoty-

kały się od czasu do czasu. Wtedy uśmiechali się do siebie, jakby w ten sposób dodając sobie nawzajem sił.

W pewnym momencie słońce zgasło, a niebo zasnuło się ciężkimi chmurami. Zanosiło się na burzę, więc jeszcze zdwoili tempo, pokonując odcinek między łąką a stodołą w rekordowym czasie.

Kiedy nadszedł wieczór, śniali się już prawie ze zmęczenia. Bluzka Celi lepiała się do ciała, a w rękawicach ochronnych powypadały dziury, przez które prześwitywała podrapana, zakrwawiona skóra. Nie zważała na to. Najchętniej zdjęłaby wszystko z siebie i została w samym kostiumie kąpielowym, ostatecznie jednak nie zdecydowała się na to.

Bolał ją każdy mięsień, a przecież czuła rozpierającą radość. Skąd brało się w niej tyle siły? Czy dlatego, że Adam był przy niej? Zresztą nie musiała szukać odpowiedzi, bo po prawdzie znała ją od dawna. Kochała go, to wszystko.

Burza przybliżyła się z każdą minutą. Wyglądało na to, że za chwilę rozpęta się nad ich głowami piekło, mimo to nie przerwali pracy. Pierwszy grzmot rozdarł przytłaczającą ciszę, gdy zmierzali wąską polną drogą z ostatnią przyczepą pełną siana do stodoły, na razie jednak nie zaczęło padać.

— Prędko! — krzyknęła Celia do Adama. — Może jeszcze zdążymy!

Ich duma przecież nie mogła pozwolić na to, aby zniszczyła się reszta pokosu, deszcz zaś mógł lunąć w każdej chwili. Ciemne chmury skutecznie przysłoniły światło dnia, a wiatr wzbijał tumany kurzu.

Celia z trudem łapała powietrze, rzucając na taśmę przenośnika belę po beli. Na górze w stodole majaczyła postać Adama. Nie miał już wokół siebie miejsca, a przecież musiał odbierać bele i upychać je resztką sił.

Dokładnie w chwili gdy Celia rzuciła na przenośnik ostatnią belę, niebo rozdarła przerażająca błyskawica, a po

niej rozległ się łoskot gromu. Opuściwszy ręce utkwiła wzrok w zasnutym ciemnymi chmurami niebie, gdy nagle znalazł się obok niej Adam. Stało się to tak szybko, że aż się zdrygnęła i nawet uskokczyła w bok potykając się przy tym. Zdażył jednak chwycić ją za rękę i przyciągnąć do siebie. Widząc wyraz jego twarzy próbowała mu się wywinąć, lecz on zamknął ją w uścisku i przytulił mocno.

— Celio — wyszeptał — nie możemy się tak zachowywać, jakby nic między nami nie było. Nie dbam o to, czy kiedykolwiek odzyskam pamięć. Jest mi tutaj dobrze i nie chcę stąd odejść. Dla mnie ważna jest tylko przyszłość... przyszłość z tobą...

Słaba i bezwolna w jego objęciach, a przy tym bezgranicznie szczęśliwa, Celia bez wahania zarzuciła mu ręce na szyję. Najchętniej wykrzyczałaby swoją miłość przed siebie, w burzę. Jeśli jemu było obojętne, kim był i gdzie do tej pory się obracał, tym bardziej dla niej nie powinno to mieć znaczenia. Dopóki był przy niej, wszystko inne wydawało się nieważne.

Pieszczotliwie przesunęła koniuszkami palców po jego policzku.

— Adamie, kochany Adamie... — wyszeptała czule.

Wpatrzeni w siebie, zapomnieli o bożym świecie. Oczy powiedziały za nich to, czego nie ważyły się dotąd wypowiedzieć usta.

Już miał złożyć na jej wargach pocałunek, gdy nagły pisk opon i zaraz potem odgłos zatraskiwanych drzwi przywróciły ich gwałtownie do rzeczywistości. Adam obejrzał się, wściekły, a Celia cofnęła o krok.

Zmieszani wpatrywali się w srebrnoszary samochód. Był to mercedes najnowszego typu, który nie wiadomo skąd się wziął i teraz zdawał się wypełniać sobą całe podwórze.

Kobieta, która wysiadła z owego luksusowego wozu, zasługiwała na nie mniejszą uwagę. Była wysoka, szczupła jak modelka i wyjątkowo elegancko ubrana. Bładozielona

jedwabna suknia zdradzała już na pierwszy rzut oka, że jej właścicielka zwykła się ubierać w najdroższych domach mody, misternie ułożonym czarnym lśniącem włosom nie można było nic zarzucić mimo silnego wiatru, a drobna twarz o wielkich zielonych oczach i lekko wystających kościach policzkowych przykuwała uwagę zniewalającą urodą.

W tej chwili jednak kobieta wyglądała na tak zszokowaną, widząc Adama i Celię w niedwuznaczej sytuacji, że ta jej uroda w widomy sposób na tym ucierpiała. Na moment stanęła jak wryta, zaraz jednak otrząsnęła się z pierwszego wrażenia. Ostrożnie, omijając kałuże, aby nie zabłocić drogich pantofli, podbiegła do Adama.

— Peterze! — krzyknęła rozdzierającym głosem. — Mój drogi Peterze, wreszcie cię znalazłam! A już myśleliśmy, że utonąłeś!

Nagle jeden z jej wysokich obcasów ugrzązł w błocie, więc aby utrzymać równowagę, zatrzepotała wyciągniętymi już do powitania rękami. Ani Adam, ani Celia nie przyszli jej z pomocą. Oboje stali oniemiałi, wpatrując się ze zdziwieniem w obcą.

— Peterze, na miłość boską, nie stój tak! Ostatecznie przyjechałam aż z Bostonu, aby cię odnaleźć!

— Przykro mi... — wyjąkał Adam. — Ale ja... nie znam pani.

Kobieta zreflektowała się.

— Przepraszam, kochanie. Całkiem zapomniałam. Na policji mówiono coś o twoim zaniku pamięci, ale nie brałam tego poważnie. To ja, Lydia, Peterze. Lydia Burke, twoja narzeczona. Płynąłeś właśnie do Bostonu, gdy twój jacht się wywrócił. Byłeś w drodze na nasz ślub!

Adam wydał zduszony dźwięk, a oszołomiona Celia przytknęła dłonie do ust. Słowa kobiety smagnęły ją jak batem.

Po twarzy Lydii przebiegł cień kpiącego uśmiechu, gdy zobaczyła, jak ta nowina wytrąciła Celię z równowagi, lecz

jej zielone, o kształcie migdałów oczy pozostały chłodne jak stal.

Adam stał jak wrośnięty w ziemię. Zwiesiwszy ręce, nie odrywał wzroku od kobiety, która utrzymywała, że jest jego narzeczoną. W tym momencie błyskawica rozdarła niebo, a zaraz po niej rozległ się tak potężny grzmot, że wszyscy mimo woli się wzdrygnęli.

— O Boże... moja sukienka! A buty! — biadoliła Lydia.

Adam jakby nagle obudził się ze snu. Ujął obie kobiety pod ręce i pociągnął je ze sobą do domu. Właśnie otwierał kuchenne drzwi, gdy lunął deszcz.

Na Lydię spadło zaledwie parę ciężkich kropeł, mimo to drżała, choć jej suknia wcale nie była przemoczona. Zdjęła swe pantofle na wysokich obcasach i zaczęła rozmasowywać nogi w kostkach.

Nagle jej spojrzenie spoczęło na Meg, która z dzbankiem na herbatę w ręku stała przy kuchni i ze zdumieniem wpatrywała się w nieznajomą. Ponieważ ani Adam, ani Celia nie wykonali najmniejszego gestu, aby ją przedstawić, Lydia była zmuszona zrobić to sama. Wytłumaczyła Meg, że jest narzeczoną Petera i że przyjechała zabrać go do domu.

Stara kobieta zaniemówiła widząc, jak Lydia z uśmiechem na ustach podchodzi do Adama i kładzie mu poufale rękę na ramieniu.

— Peterze, kochanie, to musiał być dla ciebie potworny szok. Ale przecież przypominasz mnie sobie?

Adam wzruszył ramionami i poszukał pomocy u Celi.

— Przykro mi, lecz...

— Peterze, to ja, Lydia. Lydia Burke z Bostonu. Już od kilku lat jesteśmy zaręczeni. Zresztą uważam, że to o wiele za długo. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie było zamieszanie, gdy dowiedzieliśmy się, że twój jacht zatonął. Mama o mało się nie rozchorowała. Przy takiej pogodzie nie powinienesz być wypływać na morze, kochany. Powiedziano nam, że zdążyłeś jeszcze

przekazać przez radio informację, iż chcesz zawrócić do Nowego Jorku, bo zerwał się sztorm. Natychmiast zawiadomiliśmy straż brzegową, ale kto mógł przypuszczać, że zniosło cię aż tak daleko i że wylądowałaś w tej zapadłej dziurze.

W napięciu wpatrywała się w Adama, on jednak wydawał się nie przypominać jej sobie.

— Proszę wybaczyć, panno Burke, ale...

— Panno Burke? Co ty, Peterze! Jestem przecież twoją narzeczoną. Nasz ślub miał być prawdziwym wydarzeniem towarzyskim w kręgach bostońskich, clou sezonu. Constains, najlepszy organizator takich imprez w Stanach, już zaczął przygotowania. Tak naprawdę trzeba go zamawiać nawet kilka lat wcześniej, i tylko naszym stosunkom zawdzięczamy, że w ogóle zgodził się zająć naszą uroczystością. Mama dosłownie straciła głowę, gdy nadeszła wiadomość, że uważa się ciebie za zaginionego...

Przerwała, a nikt z przysłuchujących się tak naprawdę nie wiedział, co jej sprawiło większą przykrość: zniknięcie narzeczonego czy towarzyski blamaż z powodu konieczności odwołania ślubu...

Lydia wyjęła z torebki złotą papierośnicę, zapaliła papierosa i wydmuchnęła kłęb dymu.

— Peterze McEven, wydaje się, że musimy zacząć od początku. Jesteś wnukiem starego Taggarta. Nic ci to nie mówi? Odlewnie Taggarta. Każde dziecko w stanie Nowy Jork zna to nazwisko. Twój ojciec co prawda sprzedał te zakłady, mimo to nazwa pozostała. A co do ciebie — jesteś jednym z najbogatszych młodych mężczyzn w całych Stanach. — Uśmiechnęła się nie omieszkawszy rzucić ironicznego spojrzenia na Celię. — Dopóki mnie nie spotkałeś...

— Panno Burke, przykro mi, ale... — już któryś raz z rzędu powtórzył Adam.

Lydia przerwała mu gestem ręki.

— W porządku, Peterze, nie myśl więcej o tym. Policja

zdążyła mnie przygotować na twoją chorobę. Dlatego zabrałam wszystkie albumy, jakie tylko były pod ręką, i przywiozłam ze sobą. To ci na pewno pomoże, trzeba tylko trochę czasu. Oczywiście też mam w samochodzie walizkę z rzeczami, których potrzebujesz. Jak tylko minie ta straszna burza, od razu wyjeżdżamy. Przenocujemy w hotelu, tam się wykąpiesz i przebierzesz. Mama nie może wprost doczekać się twego powrotu... Jeśli wyjeździemy wcześniej rano i będziemy jechać bez przerwy, bo tak też możemy zrobić, to...

— Ja zostaję — w głosie Adama nagle odezwała się jego zwykła stanowczość. — Właściciel tej farmy jest chory, a ja mu przyrzekłem, że przejmę jego obowiązki, zanim nie stanie na nogi. Poza tym wydaje mi się, że już czas wydoić krowy...

Lydia wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, więcej, z prawdziwym przerażeniem.

— Co ty opowiadasz! Wydoić krowy?!

— Dzisiaj, zanim rozszalała się ta burza, zwoziliśmy siano — ciągnął chłodno Adam nie reagując na jej wybuch. — Jak zrobi się pogoda, musimy jeszcze skosić dwie łąki.

— Czy to ma znaczyć, że zmuszają cię tutaj do pracy?! — Lydia nie posiadała się z oburzenia. — Jak jakiegoś... jak to się nazywa... jak jakiegoś parobka?! Chyba nie mówisz tego poważnie!

— Nikt mnie do niczego nie zmusza, to moja własna decyzja i nie mam zamiaru nie dotrzymać przyrzeczenia.

Zdradzający wściekłość wzrok Lydii powędrował ku Meg i Celi, jakby to one były odpowiedzialne za to, że jej narzeczony musi wykonywać takie poniżające w jej mniemaniu roboty. Ale nie dała tak szybko za wygraną.

— Peterze, ci ludzie mogą przecież najać kogoś, jeśli potrzebują pomocy. W żadnym wypadku nie jesteś zobowiązany do pozostania tutaj! Twoja skóra jest spalona od

słońca, a ręce — nigdy jeszcze nie widziałam ciebie z tak zaniedbanymi dłońmi!

Adam zdawał się puszczać jej wywody mimo uszu.

— Zostaję — uciął podniesionym głosem. — Gdy już coś zacznym, staram się to doprowadzić do końca.

Zabrzmiało w tych słowach takie zdecydowanie, że Lydia nie ważyła się więcej protestować.

Meg otrząsnęła się pierwsza. Nastawiła wodę i zaprosiła niespodziewanego gościa na kolację. Lydia pojęła, że w tej sytuacji nie pozostaje jej nic innego, jak przyjąć zaproszenie. Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

— Dziękuję, pani... hm... Walton. To wszystko wytrąciło mnie trochę z równowagi. Właściwie już prawie pogodziliśmy się z myślą, że Peter się utopił...

Celia wzdrygnęła się słysząc te słowa. Ciągle jeszcze nie mogła się otrząsnąć z szoku, tak wszystko w jednej chwili się odmieniło. Nie było już Adama. Był Peter McEven, bogaty mężczyzna z Nowego Jorku. I ta kobieta... traktująca go jak swą własność.

Burza zda się nie miała końca. Raz po raz biły pioruny, lało przy tym jak z cebra. W kuchni za to panowała przytłaczająca cisza. Adam pił herbatę, wpatrując się w przestrzeń, jakby nie mógł znieść niczyjego widoku. Lydia trzymała filiżankę koniuszkami palców, prawie nie dotykając ustami brzegu. Pewnie uważała, że czyhają tam na nią jakieś straszne bakterie.

Celia była tak roztrzęsiona, że nie tknęła herbaty. A więc stało się to, czego w głębi duszy tak bardzo się obawiała, od kiedy znana jej była treść inskrypcji na pierścieniu Adama. Lydia rzeczywiście istniała. Siedziała oddalona od niej na wyciągnięcie ręki, roszcząc sobie prawa do człowieka, w którym ona, Celia, nieopatrznie się zakochała. Dlaczego okazała się taka głupia, ofiarując serce mężczyźnie, o którym przecież wiedziała, że nigdy nie będzie do niej należeć? Powinna się z tym liczyć, że i tak kiedyś przyjdzie im się rozstać.

Burza wreszcie minęła. Jeszcze od czasu do czasu grzmiało, lecz ulewa przeszła w słabnący deszcz. Zgnębiona panującą w kuchni napiętą atmosferą Celia poderwała się od stołu i chwyciwszy w przelocie wiszący na haku obok drzwi płaszcz przeciwdeszczowy, rzuciła przez ramię:

— Muszę przygonić krowy.

Adam również natychmiast się poderwał, zanim jednak zdążył uczynić jeden krok, była już na zewnątrz.

— Zostań — zdążyła jeszcze krzyknąć w jego stronę. — Na pewno jest wiele spraw, które musisz omówić ze swoją... swoją narzeczoną.

Ona jedna wiedziała, z jakim trudem przyszło jej wypowiedzenie tego słowa. Zatrzasnęła za sobą drzwi i pobiegła w deszcz.

Szok ustąpił miejsca dojmującemu bólowi. To nie był koszmar, rozwiewający się wraz z nastaniem dnia, to była rzeczywistość. Ta elegancka Lydia, kobieta z całkiem innego świata, siedziała w kuchni u cioci Meg i aż paliła się do tego, aby Adama... nie, Petera, zabrać ze sobą i co prędzej wyjść za niego za mąż.

Biegła potykając się, a krople deszczu mieszały się z jej łzami. Powtarzała bezradnie jego imię jak ktoś, kto potrzebuje pomocy, a nie wie, gdzie jej szukać... Adam... Adam...

Nagle przystanąła uświadomiwszy sobie, że to nie jest imię człowieka, którego pokochała. Spróbowała wymówić tamto rzeczywiste, lecz miała wrażenie, że jakoś do niego nie pasuje. Było to obce imię obcego człowieka.

Od początku wszystko przemawiało za tym, że Adam pochodzi z zamożnej rodziny, jego sposób bycia zdradzał, iż zwykł obracać się wśród bogatych, żyjących w określonym stylu ludzi, ale że należy do grona milionerów, nigdy by jej nie przyszło do głowy. To ostatnie oddaliło go od niej bardziej nawet niż pojawienie się Lydii i nowe imię, do którego trudno jej się było przyzwyczaić.

Nieszczęśliwa, brnęła przed siebie w mokrym piasku. Fale lizały jej stopy, pozostawiając na plaży pianę, a nad głową wisiało przytłaczające niebo, tak ciemne, że już w odległości kilku metrów zdawało się zlewać w jedno ze wzburzonym morzem. Ponure było wszystko dookoła, jak gdyby sama pogoda postanowiła odzwierciedlić stan ducha zrozpaczonej dziewczyny.

Krowy zbiły się w gromadę pod osłoną starego dębu i za nic w świecie nie chciały opuścić tego miejsca. Celia więc porządnie się namęczyła, zanim udało jej się zapędzić do obory opierające się zwierzęta.

Na progu stanęła jak wryta. Światło było włączone, koryta napełnione po brzegi, a z chłodni dochodziło pobrzękiwanie baniek. Adam... nie, Peter wołał przyść do obory niż spędzić wieczór w towarzystwie narzeczonej!

Nagle zdjął ją strach, uprzytomniła sobie bowiem, że jest z nim sama. Jak oparzona porwała wiadro z gorącą wodą, w której on zdążył już rozpuścić środek dezynfekujący, i nie patrząc w jego stronę zaszyła się w drugim kącie obory. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiła. Peter wyraźnie schodził jej z drogi.

Nie zamienili słowa. Tak byli pogrążeni w myślach, że Milly, piękna czarna kotka, musiała zwrócić na siebie uwagę głośnym miauczeniem. W końcu Celia ulitowała się nad nią, stawiając jej miseczkę mleka.

Gdy już wszystko było zrobione, nie oglądając się na Petera popędziła przez podwórze w kierunku domu. Ochlapała przy tym brudną wodą i błotem płaszcz, ale nie dotarło to do niej.

W kuchni ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że ciocia Meg otworzyła „lepszy pokój”, którego używano tylko w niedziele i przy szczególnych okazjach. Przez otwarte drzwi widać było zagłębioną w fotelu Lydię ze szklanką czegoś jasnego w ręku. Ponieważ w domu nie było innego alkoholu, mogła to być tylko whisky, którą wujek Bert trzymał od lat w szafie i wyciągał na Sylwestra oraz

w dzień swych urodzin. Lydia musiała o to poprosić, to pewne. Cioci Meg na pewno nie przyszłoby do głowy częstować gościa alkoholem.

— Panna Burke zostanie tutaj, dopóki... dopóki wszystko się nie wyjaśni. Położymy ją w sypialni na górze. To najspokojniejszy pokój w całym domu. Za chwilę będzie kolacja.

O tak, Celia zdążyła już zauważyć nakryty na cztery osoby stół.

— Prawdopodobnie spędzę tu tylko jedną noc — doszedł ich głos nie pozostawiający wątpliwości co do stanu uczuć jego właścicielki. Dźwięczała w nim tajona złość. — Biedny Peter. Jestem pewna, że jak się prześpi, ujrzy sprawę w innym świetle. Jutro rano na pewno da się przekonać i wyjedziemy.

Gdy Peter wszedł do kuchni, z miejsca zaczęła grzebać w torebce i wyciągnęła stamtąd pęk kluczy na ciężkim złotym kółku.

— Peterze, bądź tak dobry i przynieś z samochodu walizki.— Przypominało to raczej rozkaz niż prośbę. — W dużej skórzanej są twoje rzeczy. Koniecznie musisz się przebrać, wyglądasz strasznie.

Obrzuciła niezadowolonym wzrokiem jego mokrą koszulę, poplamione džinsy i stare rozdeptane buty, w tej chwili niesamowicie zabłocone. Nie trzeba było słów, jej wzrok mówił wszystko.

Peter wziął bez słowa klucze i wyszedł. Lydia pozostała w kuchni, mierząc Celię od stóp do głów. Celia poczuła się bardzo niezręcznie, lustrowana z jawną drwiną tymi zielonymi kocimi oczami. Pomijając wszystko inne, aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że jej wygląd w tym momencie pozostawia wiele do życzenia. Nogi miała zabłocone, na odzieży widniały ślady pracy całego dnia, a włosy tak zmierzwione, jakby od lat nie oglądały grzebienia.

— Proszę wybaczyć, muszę wziąć prysznic.

Lydia parsknęła śmiechem.

— To samo i ja chciałam powiedzieć. Nie mogę wprost pojąć, jak można się aż tak ubrudzić.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Peter z bagażami, w pewnym sensie wybawiając Celię z niezręcznej sytuacji.

— Ja już się zajmę resztą, Ad... Peterze — rzuciła nie patrząc w jego stronę. — Proszę za mną, panno Burke, zaprowadzę panią do sypialni — zmusiła się do w miarę uprzejmego uśmiechu.

Lydia poszła za nią po schodach. Pokój ten należał kiedyś do babki Celii. Po śmierci starej kobiety niczego w nim nie zmieniono. Co prawda Meg otwarła już okno i świeżo obiekła pościel, lecz zaduch, właściwy nie używanym pomieszczeniom, nie zniknął, trudno więc się dziwić, że Lydia nie była zachwycona. Z pewnością nigdy jeszcze nie nocowała w takim miejscu, nie kryła zresztą swego niezadowolenia, wręcz odrazy. Nie miała jednak wyboru.

Zostawiwszy Lydię samej sobie, Celia poszła do swego pokoju i rzuciła z siebie brudne rzeczy. Prysznic podziałał kojąco po trudach wyczerpującego dnia i gdy potem stała przed lustrem czesząc jeszcze odrobinę wilgotne loki, czuła się już znacznie lepiej. O tym, że lada chwila utraci Adama, wołała nie myśleć.

Kiedy włożywszy czyste dżinsy i żółtą bluzkę bez rękawów schodziła schodami do kuchni, próbowała zwalczyć w sobie lęk na myśl o spotkaniu z tamtą elegancką, wyrafinowaną kobietą, która tak niespodziewanie wtargnęła w ich spokojne życie. Przy Lydii wydawała się sobie kopcuszką. Na tyle długo przebywała w wielkim mieście, aby wiedzieć, że mężczyźni oglądają się za takimi właśnie kobietami. Figura bez zarzutu, drogie, świetnie dobrane ciuchy, staranny makijaż...

W tym właśnie momencie Adam... nie Adam, Peter, też wyszedł odświeżony prysznicem ze swego pokoju. Od razu rzuciło jej się w oczy, że nie włożył nic z tych rzeczy,

które przywiozła dla niego Lydia, po prostu miał na sobie koszulę i dżinsy kupione w mieście przez wujka Berta. Spojrzenia Celia wyraźnie unikał.

Gdy wreszcie zasiedli do kolacji, na dworze było ciemno choć oko wykol, a deszcz ciągle jeszcze miarowo bębnił o szyby. Zwykle przy takiej pogodzie kuchnia wydawała się najprzytulniejszym miejscem pod słońcem, tym razem jednak było inaczej, wprost czuło się napięcie wiszące w powietrzu.

Lydia zbliżała właśnie filiżankę do ust, gdy nagle jakby zamarła. Ze zdumieniem, ale też i pewnym rozbawieniem wpatrzyła się w Meg odmawiającą modlitwę. Na szczęście stara kobieta zdawała się wcale nie zwracać uwagi na wiele mówiące spojrzenia gościa i skończywszy napiła się z widoczną przyjemnością wody źródlanej.

Kolacja była wyjątkowo obfita. Celia i Peter mieli za sobą wyjątkowo pracowity dzień i Meg przede wszystkim z myślą o nich zastawiła stół najlepszymi potrawami.

Celia odczuwała co prawda głód, lecz jedzenie stawało jej w gardle. Nagle dostrzegła rzeczy, na które nigdy wcześniej nie zwracała uwagi. Sprany obrus, ciężkie fajansowe talerze z wyszczerbionymi brzegami, cukiernica i dzbanek na mleko nie z tego samego kompletu...

Jeden Adam — albo Peter — miał wilczy apetyt. Lydia nabrała na talerz tylko odrobinę sałaty. Było to zrozumiałe, taka figura wymagała wyrzeczeń...

Meg siedziała na końcu stołu milcząc jak inni. Celia widząc badawczy wzrok ciotki usiłowała coś zjeść, choćby dlatego, by nie dawać jej powodu do zmartwienia. Na deser była babka marmurkowa. Celia wiedziała, że to ciasto Meg piekła specjalnie dla niej, i kiedy indziej powitałaby je z radością. Zdając sobie sprawę, że nie zdoła przełknąć ani kęsa, podała talerz z ciastem dalej, nie biorąc nawet małego kawałka. Wolała przy tym nie patrzeć na ciotkę, której troska o siostrzenicę aż nadto rzucała się w oczy.

Lydia nie spuszczała wzroku z Petera i widać było, że nie może doczekać się końca kolacji, by zostać z nim sam na sam.

Zapewne miała zamiar od razu przystąpić do ataku. Celi na myśl o tym ścisnęło się serce.

Peter nie zdążył jeszcze odłożyć sztućców, gdy rzuciła się do uprzątnięcia stołu i zmywania. Lydii nie przyszło do głowy, że mogłaby w tym pomóc, zresztą pewnie i tak nie była przyzwyczajona do tego typu czynności.

— Idę spać — rzekła Celia przyciskając dłoń do czoła. — Strasznie boli mnie głowa i jestem taka zmęczona... Zamknęła drzwi pokoju i z uczuciem ulgi oparła się o nie. Wreszcie skończył się ten koszmarny wieczór! Długo leżała wpatrując się w ciemność.

— Wiedziałam, że to musi kiedyś nadejść — szeptała ocierając łzy. — Od dawna wiedziałam. A to, że mimo wszystko nie potrafiłam się obronić przed miłością, to tylko i wyłącznie moja wina.

Było to co prawda logiczne, lecz ból przez to nie zelżał. W końcu jednak zmęczone ciało zaczęło domagać się swych praw i Celia zapadła w głęboki sen. Śnił jej się Adam siedzący na przyczepie wyładowanej sianem, jego śmiejące się oczy, szerokie ramiona... czuła muśnięcie jego warg.

Deszcz przestał padać, chmury rozpierzchnęły się i na niebie zaśniły gwiazdy. Błada poświata księżyca wpadająca przez okno oświetlała spleknaną twarz Celi.

5.

Następnego ranka obudziła się ze świadomością strasznej udręki, której w pierwszej chwili nie potrafiła sprecyzować. Trwało to zaledwie moment — i nagle wszystko jej się przypomniało: Lydia, Peter, uroczystość weselna w Bostonie... Poczuała się jak tonący, który nie widzi dla siebie ratunku.

Aby nie dać się rozpaczy, co prędzej wyskoczyła z łóżka i pobiegła pod prysznic. Wciągając w parę minut potem dżinsy z przerażeniem stwierdziła, że zasnęła i że już dawno należało wydoić krowy. Pośpiesznie dokończyła toalety, usiłując przy tym wyobrazić sobie, jak będzie na farmie bez Adama. Za nic jej to nie chciało wyjść, przyzwyczała się bowiem mieć go stale przy sobie. O swych uczuciach względem niego wołała nie myśleć — w świetle Adama... Petera nie było dla niej miejsca.

Wyszędłszy po cichu z pokoju z ulgą stwierdziła, że drzwi pokoju Lydii są jeszcze zamknięte. Przynajmniej nie będzie musiała znosić tej kobiety przy śniadaniu.

W kuchni Meg czekała już ze świeżo zaparzoną kawą i sadzonymi jajkami. Adama w kuchni nie było.

— Poszedł do krów — rzekła widząc pytające spojrzenie siostrzenicy. — Zanim ty skończysz śniadanie, on już na pewno upora się z dojeniem.

Celia wypła tylko filiżankę kawy i mimo perswazji ciotki nie dała się namówić nawet na jedną grzanekę.

Wyszła na dwór i odetchnęła głęboko pachnącym po

deszczu powietrzem. Po spiekocie poprzedniego dnia nie pozostało śladu. Od morza wiała łagodna bryza.

Przed oborą zwołniła kroku. Poprzez otwarte wrota dochodził odgłos pracującej dojarki, zaraz też zobaczyła samego Petera, który wśród krów poruszał się tak, jakby od maleńkości przywykł do tego. Nie omieszkał nawet świeżo wydojonej krowy klepnąć po zadzie, jak zwykli to robić umiejący się obchodzić ze zwierzętami prawdziwi farmerzy.

A przecież ten etap życia miał wkrótce mieć za sobą. Farma będzie się musiała bez niego obejść, a ona sama... Tak dobrze było pracować u jego boku, po prostu tęskniła za tym... Wiedziała jednak, że to, co było między nimi w ostatnich dniach, owo szczególne, nie wymagające słów zrozumienie, serdeczność obracająca najcięższą pracę w zabawę, nigdy już nie powróci.

Wśliznęła się przez boczne drzwi i zdjęła z półki duży pojemnik mleka w proszku, odmierzyła porcje do przygotowanych wcześniej wiader i nalała wody. Cielęta czekały już przecież niecierpliwie na poranny posiłek. Nakarmiwszy je, umyła wiadra pod kranem i chciała je odstawić na miejsce, lecz Peter ją uprzedził.

Odwróciła się z ociąganiem. Zmarszczył brwi i umknął spojrzeniem, lecz zaraz potem zmusił się do zajrzenia jej w oczy.

— Celio, ja...

— Nie mów nic — przerwała mu nerwowo. Nie zniosłaby tego, gdyby dokończył. — Nie musisz nic mówić. Odnalazła cię. Tego nie da się zmienić.

Oddychała szybko, a jej ręce tak drżały, że nie pozostało jej nic innego, jak ukryć je za plecami. — Życzę tobie... i Lydii dużo szczęścia. Cieszę się, że wyjaśniła się wreszcie tajemnica twojego pochodzenia. Przynajmniej wiesz już, gdzie jest twoje miejsce.

To było ponad jej siły. Czowała, że jeśli zostanie chwilę dłużej, zaleje się łzami, ale Peter zastąpił jej drogę.

— Nie odejdę — powiedział ze zwykłym sobie spokojem. — Pozostanę tak długo, jak długo twój wujek nie wydobrzeje. I na pewno zwiózę wszystko siano.

Celii nie mogło to pocieszyć, niczego przecież nie zmieniało, oznaczało tylko przesunięcie ostatecznego rozstania w czasie. Mogło to potrwać tydzień, nie więcej. Byłoby chyba lepiej, gdyby wyjechał od razu, miałyby to już za sobą. Nie istniał nawet cień szansy, że jej samej uda się skosić trawę i zwieść siano, inaczej zaklinałyby go na wszystkie świętości, żeby odszedł, nie oglądając się na nic. Takiej możliwości nie było, westchnęła więc tylko i spojrzęła na niego zgnębiona.

— To... to bardzo ładnie z twojej strony... dziękuję.

Na nic więcej nie umiała się zdobyć. Pozostawiła go z nie skończoną robotą i pognała krowy na pastwisko.

Łąki były po ulewnym deszczu tak mokre, że w najbliższym czasie nie mogło być mowy o koszeniu. Pozostawała więc praca, która nagromadziła się na farmie podczas ostatnich gorących dni. Gdy Celia wracała z pastwiska, dobiegły ją charakterystyczne odgłosy z szopy. Widocznie Peter znalazł sobie jakieś zajęcie, choć w domu czekała na niego Lydia. Nie chcąc się z nim spotkać, zatoczyła szeroki łuk i poszła do ogrodu.

Ziemia była jeszcze wilgotna, doskonały moment na pielenie. Deszcz przydał się roślinom, były w ostatnich dniach tak wysuszone, lecz niestety sprzyjał też wzrostowi chwastów. W każdym razie zapowiadał się dobry zbiór melonów, zacerwieńczyły się pierwsze pomidory, a słoneczniki za ogrodzeniem sposobiły się do kwitnienia.

Ciężkie chmury zniknęły, tylko wędrujące po niebie małe białe obłoczki na moment przysłaniały słońce. Morze było spokojne, a woda przybrała odcień akwamaryny. Był to więc jeden z takich dni, kiedy wszystko naokoło się śmiało, więc i człowiek powinien cieszyć się życiem.

Lecz do Celii to nie docierało. Ona, która tak kochała

przyrodę, a śpiew ptaków przedkładała nad najpiękniejszą muzykę, ze spuszczoną głową wyrывała chwasty pomiędzy sadzonek bazylii i szaławii, jakby to była najważniejsza rzecz pod słońcem.

Na krótko przed obiadem zerwała kilka główek sałaty i poszła do domu. Meg właśnie wyciągała z pieca wspólnie pachnący chleb. Zaskoczona Celia rozejrzała się wokoło.

— Czy ona...

Meg wskazała głową w kierunku schodów.

— Do tej pory nie dała znaku życia. Ciekawa jestem, czy co dzień tak długo śpi.

Celia zaczęła właśnie płukać sałatę, gdy rozległy się kroki i do kuchni weszła Lydia ziewając i zasłaniając dłonią mocno uszminowane usta.

— Tu jest wręcz nieprawdopodobnie spokojnie — rzekła. — Można spać cały dzień i nic w tym nie przeszkodzi.

— Obiad będzie za chwilę, proszę usiąść — Meg wskazała gościowi krzesło.

— Tylko nie to. O tej porze nigdy nie jadam. Lepiej przejdę się trochę i rozejrzę za Peterem.

Lydia miała na sobie eleganckie, znakomicie skrojone spodnie i jedwabną bluzkę, rozpiętą o jeden guzik za nisko jak na gust Celi. W wycięciu dekoltu widniał gruby złoty łańcuszek z drogim kamieniem rzucającym błyski przy każdym jej ruchu. Strój ten co prawda absolutnie nie pasował do otoczenia, jednak przynajmniej w kwestii obuwia przystosowała się do nie znanych sobie wcześniej okoliczności. Obcasy butów były zdecydowanie niższe niż u pary, jaką nosiła poprzedniego dnia. A i tak po jednym przejściu przez podwórze będą nie do poznania, myślała ze złośliwą satysfakcją Celia.

Przez okno widziała, jak Lydia, ostrożnie omijając kałuże, zmierza prosto do szopy, gdzie urzędował Peter. Po drodze wpadła w głęboką koleinę, pozostawioną poprzedniego dnia przez przyczepę z sianem, zachwiała się

i krzyknęła. Peter stanął w drzwiach, wycierając zaoliwione ręce.

Celia próbowała skoncentrować się na przygotowaniu sałaty, lecz jej wzrok uparcie powracał do niecodziennej pary pod szopą. Nie mogła co prawda słyszeć rozmowy, ale towarzyszące jej gesty wydawały się zdecydowanie jednoznaczne.

Lydia z oburzeniem wskazała na brudne ręce Petera i sfatygowane dzinsy, a on stał przed nią jak karcony uczeń i milczał. Wyglądało na to, że mówi wyłącznie Lydia. Gestykulując z ożywieniem raz po raz zwracała głowę w kierunku mercedesa i szopy.

Peter coś na to odpowiedział. Celia miała wrażenie, że mówi powoli i dobitnie, jak ktoś, kto chce przekonać o swej racji. Najpierw wskazał ręką w stronę wielkiego okna, za którym leżał wujek Bert, potem obrócił się twarzą do dwóch łąg czekających na skoszenie. Próbował jej wytłumaczyć, to oczywiście, dlaczego na razie nie opuści farmy.

Znowu zaczęła Lydia. Z uśmiechem wyciągnęła rękę, aby pogłaskać Petera po policzku. Celia przetarła oczy. Czyżby się myliła? Peter aż cały się wzdrygnął, gdy Lydia go dotknęła. Coś odpowiedział i uśmiech kobiety ustąpił miejsca grymasowi niezadowolenia. Zaczęła mówić znowu, jeszcze bardziej podniecona, a odmowę Petera skwitowała wzniesieniem rąk do nieba gestem człowieka, który zrezygnował z przekonania upartego rozmówcy. Odwróciwszy się na pięcie pomaszerowała z powrotem do domu.

Peter jeszcze przez chwilę patrzył za nią, a gdy zatrzasnęła za sobą drzwi kuchenne, wrócił do szopy. Z pewnością chętnie by odjechał, trzymając go tylko poczucie obowiązku, myślała smętnie Celia.

Mimo iż Lydia nie rzekła słowa, rzucało się w oczy, że ma popsuty humor. Rozdygotanymi palcami wyciągnęła papierosa i utkwivszy wzrok w ścianie zaciągnęła się

dymem. Ładnych parę minut trwało, zanim opanowała się na tyle, by dostrzec Celię i Meg.

— Mogłabym dostać filiżankę kawy? — I ta prośba brzmiała raczej jak rozkaz. — Jestem do niczego, dopóki nie napiję się kawy i nie wypalę papierosa.

Meg już otwierała usta, by wyrazić swe zdanie na temat takiego rozpoczynania dnia, lecz ostatecznie powstrzymała się od tego. Widocznie w porę doszła do wniosku, że i tak na nic by się to nie zdało.

Celia wzięła dzbanek z kawą i podeszła z nim do stołu. Lydia usiadła w wystudiowanej pozie, nie usiłując nawet ukryć, jaką przyjemność jej sprawia fakt, że to właśnie Celia ją obsługuje. Z drwiącym uśmiezkiem przyglądała się, jak napełnia filiżankę, przysuwa śmietankę i cukier.

— Dziękuję. To prawdziwe lekarstwo dla mnie — rzekła. — Peter ma dzisiaj zły dzień. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam. Prawdopodobnie bardziej odczuwa niewygody życia tutaj, niż chce się do tego przyznać.

Meg przygryzła wargi. Był to znak, że lada moment wybuchnie, Celia więc szybko zaoferowała pomoc przy obiedzie. To wystarczyło. Ciotka odwróciła się i już nie istniało niebezpieczeństwo, że powie więcej, niżby chciała.

W chwilę potem do kuchni wszedł Peter. Zdążył już wcześniej umyć ręce, więc od razu usiadł za stołem i w milczeniu zabrał się do jedzenia. Zresztą i tak nie mógłby za wiele powiedzieć, ponieważ Lydia wzięła na siebie ciężar rozmowy. Wyglądało na to, że gniew jej minął, szczebiotała bowiem jak najęta. Co rusz kładła władczy gestem Peterowi rękę na ramieniu, zaglądając mu przy tym w oczy. Peter nie reagował, ale też nie czynił nic, aby ją zniechęcić.

Przy okazji Celia zauważyła, że Lydia nosi pierścień podobny do tego, jaki miał Peter, tyle że mniejszy, delikatniejszy, dopasowany do kobiecej dłoni. Jej spojrzenie ukradkiem powędrowało ku niemu. Nawet w stroju

roboczym prezentował się doskonale, a gdy wyobraziła go sobie, jak wygląda w drogim garniturze, z zadbanymi rękami... Szybko spuściła głowę walcząc ze łzami. Wprost nie mogła doczekać się momentu, kiedy będzie mogła wstać od stołu, więc gdy tylko Peter jako ostatni odsunął talerz, wybąkała słowa przeprosin, poderwała się i wybiegła.

Popołudnie Peter spędził w szopie. Przy kosiarce wymienił noże, zakładając świeżo naostrzone, wyczyścił i noliwił prasę do siana, sprawdzając przy okazji każdą śrubkę. Czyżby mu zależało na jak najszybszym opuszczeniu farmy, że tak spieszył się z robotą? Pytanie to nie dawało Celi spokoju.

Dlaczego właśnie tutaj morze wyrzuciło go na brzeg?! Ileż troski i zmartwienia, ileż zgryzoty byłoby jej zaoszczędzone, gdyby go nigdy nie znała!

Poszła do ogrodu. W jakiś sposób czuła się tu bezpieczna, bezpieczna od ewentualnego spotkania z Peterem czy z Lydią.

Nagle, uniósłszy głowę, ujrzała Lydię zmierzającą w stronę szopy. Stała w drzwiach i przyglądała się pracującemu Peterowi. Leżał właśnie pod ciągnikiem grzebiąc w maszynie i tylko zdawkowo odpowiadał na pytania. Po krótkim czasie wyraźnie się jej to znudziło, więc odeszła. To prawda, Lydia nie wiedziała, co począć z czasem. Życie na farmie było dla niej tak obce, tak nie przywykła do niego, że nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić.

Celia była przekonana, że Lydia poszła do kuchni do ciotki Meg, gdy nagle wyrosła przed nią. Nie przerwała pracy, mając nadzieję, że kobieta szybko się zniechęci, jak to miało miejsce przed chwilą.

— Co pani robi? — Głos Lydii nie zdradzał większego zainteresowania.

— Wirywam chwasty. To nasz ogród warzywny.

— O! — Lydia przyjrzała się równym rządkiem roś-

linek. — Czy nie byłoby o wiele prościej kupić jarzyny w sklepie?

— Pewnie tak, lecz my wolimy warzywa prosto z ogrodu — wyjaśniła w miarę uprzejmie Celia. — Część z tego zamrozimy i w ten sposób zaoszczędzimy trochę pieniędzy w zimie, gdy wszystko jest takie drogie.

Lydia roześmiała się. Widocznie rozbawiła ją myśl, że istnieją ludzie, którzy zadają sobie tyle trudu, a oszczędzą w ten sposób parę dolarów. Przez chwilę przyglądała się w milczeniu, po czym nagle przystąpiła bliżej i niższy głos zaczęła:

— Myślę, że musimy porozmawiać, aby pani wiedziała, czego się trzymać. Oczywiście nie uszła mojej uwagi ta mała wzruszająca scena między panią i Peterem w momencie mego przyjazdu.

Celia uczuła, że rumieniec wypływa jej na twarz, co prędzej więc pochyliła głowę nad grządką.

— Ja... — zaczęła.

— Nie potrzebuje mi pani niczego tłumaczyć — przerwała wyniośle Lydia. — Mogę sobie wyobrazić, jak to Petera podniecało, że tym razem ma do czynienia z dziewczyną ze wsi. Zanim się zaręczyliśmy, miał mnóstwo takich przygód. — Protekcyjnie położyła rękę na ramieniu Celi. — Niech pani nic sobie z tego nie robi, moja kochana — rzekła z fałszywą przyjaźnią. — Dla niego to na pewno nie miało żadnego znaczenia, ale przecież znajdzie się jakiś poczciwy chłopiec z sąsiedztwa, który będzie szczęśliwy, że przyjdzie mu panią pocieszyć.

Celia umknęła ramieniem, jakby dotknęła ją jadowita żmija.

— Nigdy nie potrafi pani zrozumieć, co wiąże Petera i mnie, panno Burke! I proszę wreszcie zostawić mnie w spokoju!

Lydia ze zdziwieniem uniosła brwi nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, wzruszyła więc tylko ramionami i rzuciła na odhodnym:

— Próbowałam pani pomóc, to wszystko.

Celia z wściekłością zacisnęła pięści. Spokojnie mogła zrezygnować z takiej pomocy! Za wszelką cenę usiłowała się nie rozpląkać. Lydia nie powinna oglądać jej też.

Gdy nadeszła pora przypędzenia krów, poszła na pastwisko swą ulubioną drogą brzegiem morza. W miejscu, gdzie tak niedawno znalazła Adama, zatrzymała się zamyślona.

Nie było sensu rozpaczać, raczej musiała spróbować samą siebie przekonać, że jego pobyt na farmie był tylko snem. Im szybciej uda jej się z tym pogodzić, tym łatwiej przyjdzie jej to wszystko znieść. Utkwiła wzrok w horyzoncie. Rok wcześniej, gdzieś tam w bezbrzeżnej otchłani straciła Gavina, a teraz znów straci mężczyznę darowanego jej przez morze. Wydrze go jej zielonooka, mająca coś z kotki kobieta, która zdaje się nigdy nie wypuszczać tego, co raz wpadnie w jej ręce.

Peter właśnie mierzył temperaturę otoczenia i wydawał się nie słyszeć, jak wchodziła do obory. Trzymając się z dala od siebie, jak dwoje obcych wykonywali w milczeniu jedną czynność po drugiej. W pół godziny krowy były już wydojone, dojarka umyta i odstawiona na zwykłe miejsce, a Peter wziął łopatę i zaczął zmieniać ściółkę. W tym momencie Celii wydało się, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się i zobaczyła Lydię stojącą w drzwiach. Najchętniej by uciekła, lecz nie chciała z siebie robić widowiska, szczególnie w oczach tej kobiety, zacisnąwszy więc zęby pozostała na miejscu.

Ostrożnie, starając się nie dotknąć swoją drogą bluzką framugi, Lydia weszła do środka i nagle z wrażenia zamieniła się w słup soli.

— Peterze — krzyknęła zmienionym głosem. — Peterze, na miłość boską, co ty robisz?!

Rzucił w jej kierunku przelotne spojrzenie nie przerywając zajęcia.

— To też musi być zrobione — rzekł spokojnie.

Oplukał łopatę pod kranem i odstawił do kąta. Lydia przez cały czas przyglądała mu się ze zgrozą, zatykając nos.

Nie zamieniwszy słowa wyszli z obory. Nie zapytali, czy Celia pójdzie z nimi, więc udała, że jest czymś zajęta, choć tak naprawdę nie było już nic do roboty.

Kiedy wreszcie zdecydowała się wejść do domu, Lydia właśnie popychała Petera do drzwi jego pokoju.

— Kochanie — perswadowała, przybrawszy najłagodniejszy pod słońcem ton — myślę, że nadszedł czas, abyś się przebrał we własne rzeczy, nie sądzisz? Chociaż na dziś wieczór, proszę! Leżą przygotowane.

Peter wyszedł bez słowa. Celia widząc triumf w oczach Lydii co prędzej odwróciła się do cioci Meg. Nie chciała dać poznać po sobie, jaką przykrość jej to sprawiło.

Peter zwlekał z powrotem, gdy jednak wreszcie pojawił się w kuchni, Meg i Celia dosłownie oniemiały. Nie było już Adama w wystrzępionych dżinsach i zwykłej bawełnianej koszuli. Mężczyzna stojący przed nimi wydał im się tak obcy, jakby go nigdy dotychczas nie widziały.

Niebieskie spodnie z idealnie zaprasowanymi kantami wyglądały jak prosto spod igły, a biała koszula w jasnoniebieskie paski, rozpięta pod szyją i przez to silnie kontrastująca z opaloną na brąz skórą, była modnie dopasowana w talii i przez to podkreślała jeszcze szerokie ramiona Petera. Włosy miał starannie uczesane, a choć zdążyły już nieco odrosnąć, ciągle znać było na nich rękę wytrawnego fryzjera. Wszystko to sprawiało wrażenie sylwetki wprost z żurnala.

— Widzisz, kochanie — Lydia była wniebowzięta. — Znowu jesteś sobą. Te straszne dżinsy w ogóle do ciebie nie pasują!

Przystąpiła bliżej ujmując go za ręce. Nagle jęknęła przerażona.

— Peterze! Pierścień! Gdzie jest pierścień, który ci podarowałam? Nie mów tylko, żeś go zgubił.

Celia musiała się odwrócić. Po prostu nie mogła się zmusić do spojrzenia Peterowi w twarz.

— Nie... nie — wymamrotał zakłopotany. — Nie zgubiłem go. Leży w szufladzie.

— A więc przynieś go i włóż z powrotem na palec. Takiej cennej rzeczy nie wolno zostawiać byle gdzie.

Peter poszedł do swego pokoju i po chwili wrócił z pierścieniem. Chciał go oddać Lydii, lecz ta bezapelacyjnie wyjęła mu go z ręki i nasadziła na palec.

Celii zakręciło się w głowie. Nie mogła znieść tej sceny, lecz trwała nieporuszona.

— Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś go zgubił. — W oczach Lydii malowało się niekłamanie przerażenie. — Przecież te pierścienie pochodzą z kolekcji Calesa! Trzeba było fortelu, aby uprzedzić kilka osób, które też chciały je mieć. Nie przypominasz sobie, jak podczas uroczystości zaręczynowej ludzie gapili się na nasze ręce?

Peter wbił wzrok w podłogę, jakby to wszystko sprawiało mu wyjątkową przykrość.

— Biedny Peter! — Lydia roześmiała się głaskając go, po policzku. — Wciąż jeszcze masz zamęt w głowie, nieprawda? Ale jak obejrzysz zdjęcia, które przywiozłam ze sobą, na pewno wróci ci pamięć.

Zamiar pokazania mu zdjęć wyraźnie wprawił ją w lepszy humor. Podczas kolacji była rozmowna jak nigdy dotąd i wydawała się nic sobie z tego nie robić, że inni odzywali się półsłówkami. Śmiejąc się i żartując nie spuszczała oczu z Petera, kładąc mu przy łada okazji poufale rękę na ramieniu lub pieszczotliwie głaskając po policzku.

Po kolacji przyniosła duży, oprawny w skórę album i rozłożyła go na stole, po czym zmusiła Petera, aby usiadł koło niej. Z namaszczeniem zaczęła przewracać kartę po karcie. Były tam zdjęcia i wycinki z gazet.

Gdy Celia zmywszy naczynia rozwiesiła ścierkę i po

cichu chciała umknąć do swego pokoju, Lydia ją nieledwie siłą zatrzymała.

— Celio, proszę do nas. Jestem pewna, że to panią bardzo zainteresuje. Życie uchwycone na zdjęciach wygląda całkiem inaczej niż to wasze tutaj. To będzie dla pani powiew szerokiego świata.

Celia nie umiała w porę znaleźć sensownego wykrętu, nie pozostało jej więc nic innego, jak usiąść. Wiedziała aż za dobrze, dlaczego Lydii tak zależało na tym, aby i ona, Celia, obejrzała album. Miała to być kontynuacja ich rozmowy w ogrodzie. Tymi zdjęciami i artykułami Lydia chciała raz na zawsze uświadomić jej, że styl życia Petera i egzystencja dziewczyny ze wsi w żadnym wypadku nie mają nic wspólnego i absolutnie do siebie nie pasują. Prawdopodobnie wiele sobie po tym obiecywała. Piorunujące wrażenie, jakie spodziewała się zrobić na Celii, miało podziątać jak zimna kąpiel i pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Celia zdawała sobie sprawę, że sprawi jej przykrość oglądanie szczęśliwego Petera w jego świecie, tak obcym dla niej i jej otoczenia, lecz mimo wszystko była też ciekawa. Miała nawet iskierkę nadziei, że wyliczenia Lydii spełzną na niczym i że wreszcie pojmie, iż oba te światy, tak różne od siebie, jednak w jakiś sposób się zazębiają.

— Przywiozłam wszystko, co tylko mogłam w tym pośpiechu znaleźć — rzekła Lydia. — Popatrz, tu są nawet twoje albumy rodzinne. Na tym oto zdjęciu jesteś ty, w wieku sześciu lub siedmiu lat.

Wskazała na z lekka już pożółkłą fotografię, z której patrzyło wielkimi oczami jasnowłose dziecko. Na jego twarzy malowało się ni to trwoga, ni to niechęć. Chłopczyk miał na sobie ubranko marynarskie, krawat i wyglądał jak dorosły.

Obok niego stali rodzice. Matka miała ładną regularną

twarz i takie same jasne wijące się włosy jak Peter. Jej władczy uśmiech był jakby wymuszony, a dumnie podniesiona głowa i wyprostowana postać zdradzały pewność siebie.

Obejmujący ją mężczyzna wyglądał dystyngowanie, promiennie się uśmiechał i sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z siebie i ze świata.

W tle widniał portret starszego mężczyzny, o włosach tak jasnych jak u Petera i jego matki, po którym to córka prawdopodobnie odziedziczyła pewność siebie. Rzuciło się w oczy, że przyzwyczajony był do wydawania rozkazów i kierowania ludźmi. Z jego oczu wyczytać można było powagę i zdecydowanie, a wąskie usta chyba tylko przypadkowo układały się w grymas uśmiechu.

Peter przyglądał się zdjęciu nie mówiąc słowa. Zmarszczone brwi i wyraz twarzy zdradzały, że na próżno stara się odnaleźć związek między sobą a ujętymi na nim postaciami. Nawet gdy Lydia podsunęła, że portret przedstawia jego dziadka, w niczym mu to chyba nie pomogło.

— To Hamisch Taggart, Peterze. Kiedyś przywędrował ze Szkocji goły jak święty turecki, a teraz nie ma takiego, kto by nie słyszał o odlewniach Taggarta. Słynne odlewnie Taggarta, nie możesz nie pamiętać! Ten portret został namalowany na krótko przed wylewem krwi do mózgu, który ostatecznie zwałił go z nóg. A to jego zdjęcie zrobiono nie tak dawno.

Podsunęła Peterowi fotografię bez wątpienia tego samego mężczyzny, tyle że postarzałego, z białymi włosami, zgarbionego pod ciężarem lat i chorego. Siedział w fotelu na kółkach owinięty kocem. Jeszcze tylko oczy patrzyły twardo w kamerę, lecz usta ułożyły się w grymas goryczy. Było to zdjęcie człowieka, którego życie do reszty rozczarowało.

— Wprost nie do uwierzenia, że ten stary człowiek jeszcze żyje, gdy tymczasem twoi rodzice...— Lydia westchnęła sięgając po papierośnicę. — Jest w domu

starców i nie pozostaje mu nic innego jak czekać na śmierć. Gdy mnie tam raz zaprowadziłeś, miałam ochotę uciec...

Celia bacznie przyglądała się Peterowi. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest podobny do tego starego człowieka. To samo przenikliwe spojrzenie, ten sam wyrażający zdecydowanie układ ust. Zdawał się sobie coś przypominać, w chwilę potem wszakże jego wzrok stał się na powrót bezradny, odłożył więc wreszcie zdjęcie na stos innych.

— A to fotografie z zawodów o Puchar Komodora, w których brałeś udział — nie rezygnowała Lydia. — Byłeś taki dumny, że udało ci się zająć pierwsze miejsce. Wszystkich wyprzedziłeś!

O tym wydarzeniu informował dość długi artykuł. Tłustym drukiem widniało: SUPERBOGATY PETER McEVEN ZWYCIEŻYŁ W COMMODORE CUP, a na zdjęciu na dziobie jachtu pod pełnymi żaglami stał uśmiechnięty Peter. Miał na głowie czapkę żeglarską i triumfalnie dzierżył wysoko w górze zdobyty puchar.

— Szkoda jachtu — ciągnęła Lydia. — Zawsze byłeś do niego bardzo przywiązany. Z drugiej strony musisz jednak przyznać, że był o wiele za duży i przez to mało zwrotny. Przrzekłeś mi zresztą, że każesz sobie zbudować mniejszy, zgrabny jacht, którym byśmy mogli zawinąć do każdego portu czy nawet małej przystani przy Lazurowym Wybrzeżu. Już teraz się cieszę, że będziemy w St. Tropez...

Po raz pierwszy tak naprawdę dotarło do Celi, że Peter i Lydia należą jakby do innego świata.

Byli nie tylko zamożni i nie potrzebowali się kłopotać o środki do życia — nie, oni byli bogaci, tak bogaci, że trudno to było sobie nawet wyobrazić.

Lydia grzebała w stosie wycinków z gazet, po czym nagle niecierpliwym gestem odsunęła je od siebie. Peter zauważył, że coś chce przed nim ukryć, i natychmiast po to sięgnął.

— To nic interesującego. Przedpotopowe artykuły, jeszcze z czasów, kiedy twoi rodzice wystawili odlewnie na sprzedaż. Nawet nie wiem, jak do tego doszło.

Peter grzebał w wycinkach i Celi w tym czasie udało się przeczytać kilka nagłówków.

Odlewnie Taggarta wystawione na sprzedaż. Córka i zięć założyciela firmy nie zainteresowani rozwojem imperium. Sprzedaż przyniesie olbrzymie sumy.

Peter studiował artykuł po artykule, tak że i Celia miała sposobność coś niecoś przeczytać.

... imperium Taggarta zrodziło się w małym warsztacie... Wylew krwi do mózgu zmusił właściciela do zrzeczenia się kierownictwa... spadkobiercy bardziej zainteresowani lekkim życiem niż ciężką pracą... wnuk Peter, usposobiony buntowniczo młody człowiek...

Lydia wyjęła Peterowi artykuły z ręki i wsunęła je pod stos zdjęć.

— Mogę zrozumieć twoich rodziców, że ważniejsze dla nich były pieniądze — rzekła wydymając wargi. — Co właściwie ma się z tego, gdy się jest bogatym, lecz nie można używać bogactwa, bo się ciężko haruje?!

Sięgnęła po przezroczystą koszulkę, w której tkwiło wielkie zdjęcie, a jej twarz przy tym rozjaśniła się. Fotografia przedstawiała Petera w smokingu, u jego boku stała ona, Lydia, w długiej błyszczącej sukni wieczorowej o głębokim spiczastym dekolcie.

Peter McEven i Lydia Burke zaręczyli się. Ich uroczystość ślubna będzie wydarzeniem roku w Bostonie.

Potem nastąpiły zdjęcia z party zaręczynowego. Uśmiechnięci, elegancyjcy ludzie z kieliszkami szampana w ręku, panowie w smokingu, panie w nieprzyzwoicie drogich toaletach, obwieszane biżuterią.

Na większości z nich Lydia uśmiechała się promiennie do kamery, a jej twarz zdradzała przy tym, że udało jej się dopiąć swego. Na próżno Celia szukała czegoś, choćby jakiegoś błysku w oczach, który mówiłby o szczęściu jej

kobiety. Nawet na zdjęciu przedstawiającym ją w ob-
jęciach Petera jej twarz wyrażała tylko zadowolenie z sie-
bie i dumę z posiadania. Co prawda patrzyła na Petera —
lecz w jej spojrzeniu nie było śladu miłości.

A Peter! Oczywiście dało się poznać w tym eleganckim
mężczyźnie człowieka, z którym na wyścigi, by zdążyć
przed deszczem, zwoziła siano, ale oczy i wyraz twarzy
zdawały się należeć do kogo innego. Uśmiechał się co
prawda, lecz ten uśmiech nie był podobny do tego, który
znała. Był wystudiowany, może nawet arogancki.

Poderwała się z miejsca czując, że dłużej tego nie
zniesie.

— Ależ nie, proszę zostać, moja kochana — Lydia
chwyciła ją za rękę i usadziła z powrotem. — Jest jeszcze
wiele do oglądania.

Celia nie umiała grać, z jej rysów łatwo dało się
wyczytać, jak bardzo cierpi — a to jeszcze potęgowało
zadowolenie Lydii.

— Wiem, panno Burke. Ale... mnie głowa rozboleła.
Muszę się położyć.

— Nie, nie, zostanie pani — rzekła z naciskiem Lydia.

Nie zadała sobie nawet trudu, by ukryć triumfalny
uśmiech, doskonale wiedząc, że tę rundę z niedoświad-
czoną wiejską dziewczyną zdecydowanie wygrała. Potem
zwróciła się do Petera.

— Kochanie, przypominasz sobie teraz? Przecież foto-
grafie i wycinki z gazet powinny były ci to ułatwić!

Peter westchnął, odsunął krzesło i wstał. Zaczął chodzić
tam i z powrotem, pocierając ręką czoło.

— Nie wiem, nie wiem — wyszeptał. — Wszystko jest...
jakby zasnutę mgłą. Przez moment zdaje mi się, że coś
sobie przypominam, a zaraz potem mam pustkę w głowie...

Lydia zmarszczyła brwi. Gestem zdradzającym znie-
cierpliwienie wzięła następne zdjęcie do ręki.

— No, to już jest coś. Usiądź jeszcze i obejrzyj pozos-
tałe zdjęcia.

— Na dziś dość — Peter odwrócił się i spojrzał na Celię.

Nagle wydało jej się, że w jego wzroku jest coś, co znała od dawna, do czego była przyzwyczajona, i to coś spowodowało szybsze bicie serca dziewczyny. Zaraz jednak jego spojrzenie powędrowało gdzieś za nią, brwi się zmarszczyły, oczy sposepniały, po czym zniemacka ruszył do przodu, tak że musiała usunąć się na bok. Z impetem otworzył drzwi, jak ktoś, komu zabrakło powietrza.

Celia stała oszołomiona. Lydia nerwowo zebrała zdjęcie, po czym minęła ją bez słowa i poszła za Peterem.

Teraz już Celia miała naprawdę dość, tym bardziej że zauważyła współczujące spojrzenie Meg. Stara kobieta przez cały czas siedziała milcząc w fotelu, zajęta robotą na drutach, była więc od początku do końca świadkiem całego zajścia. To Celię dobiło do reszty. Obróciła się i bez słowa pobiegła do swego pokoju, gdzie zrozpaczona rzuciła się na łóżko.

Była śmiertelnie zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Gdy tylko zamknęła oczy, jawili jej się Peter i Lydia, stojący pod starym klonem w ogrodzie. Peter brał Lydię w ramiona, tulił do siebie, całował i pozwalał się całować... Przerażona, otwierała na powrót oczy i wpatrywała się w ciemność.

Nie miała prawa się skarżyć, przecież od początku wiedziała, że przeszłość prędzej czy później upomni się o niego. A marzenia, że w jego życiu może i dla niej znaleźć się miejsce, powinna była ostatecznie pogrzebać tego dnia, gdy ujrzała wygrawerowaną w pierścieniu inskrypcję...

I te jej dziecinne przypuszczenia, że pierścień stanowi pamiątkę rodzinną... cóż, oszukiwała siebie lękając się spojrzeć prawdzie w oczy.

Gdyby była sama wobec siebie uczciwa, z miejsca zdałaby sobie sprawę, że wokół takiego przystojnego mężczyzny jak Peter przewinął się rój kobiet i że dziew-

czyna jak ona nie ma szans. A teraz nie pozostało jej nic poza wspomnieniem kilku tygodni ciężkiej pracy i jednym jedynym pocałunkiem...

Przez otwarte okno dochodził szum fal miarowo bijących o brzeg. Ten monotony odgłos spowodował wreszcie, że zasnęła.

Jeszcze była na wpół uśpiona, a jej myśli zdążyły już powędrować do Petera. Nie pozostało nic innego jak wziąć się w garść i przetrwać te ostatnie wspólne dni. Kiedy wreszcie uporają się ze zwózką siana, Peter nie będzie miał powodu, by zwlekać z wyjazdem, a wtedy ona się zastanowi, co począć z pustką w swym życiu.

Tym razem jednak czekało ją coś znacznie gorszego, dobrze o tym wiedziała, niż po śmierci Gavina. O Gavinie mogła już myśleć nie odczuwając bólu, który przez tyle miesięcy ją osaczał, nie czuła też z tego powodu wyrzutów sumienia. Przesądziła o tym obecność Petera.

Usiadła na łóżku, opasując rękoma kolana. Po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl, że historia z Gavinem była czymś w rodzaju przygotowania — przygotowania do wielkiej miłości jej życia. I miłość ta lada dzień miała jej zostać odebrana. Los sobie z niej zakpił. Burzliwe, żądne krwi morze zabrało jej ukochanego, wyrzucając jakby dla naprawienia krzywdy na brzeg Petera. To szczęście też trwało krótko, och, jak krótko...

Gdy zeszła do kuchni, Peter właśnie kończył śniadanie.

— Wygląda na to, że będzie dziś ładnie — mruknął nie podnosząc wzroku. — Pora kończyć z sianem.

W oborze wykonywał z nabytą wprawą kolejne czynności, ale jego myśli krążyły daleko, to rzucało się w oczy, nietrudno więc było zejść mu z drogi. Mimo to odcznęła z ulgą mogąc wreszcie wygonić krowy. Wołała być sama.

Wracała nie śpiesząc się. Co raz przystawała oglądając

się za siebie, dopiero gdy usłyszała warkot ciągnika, a inne odgłosy powiedziały jej, że Peter zdążył przyczepić do niego kosiarkę, puściła się biegiem.

Tym razem Lydia przespała nawet porę obiadu. Gdy wreszcie zeszła do kuchni, mogła tylko dojrzeć z okna, jak Peter wyjeżdża ciągnikiem w pole. Niezdecydowana patrzyła za nim. Perspektywa stania na skraju łąki i spoglądania za nim wydała jej się niezbyt nęcąca. Z drugiej strony nie chciała zostać w domu. Meg była zajęta sporządzaniem marynat na zimę i do każdego kąta docierał zapach gorącej zalewy octowej.

Ostatecznie więc wróciła do swego pokoju, aby po chwili zjawić się ponownie w kuchni, tym razem w białym kostiumie. Przeszła obok Meg i Celi stukając obcasami i zniknęła. Nawet nie raczyła skinąć głową. W parę minut później mercedes wyjechał drogą dojazdową na szosę i skręcił w kierunku Harristown.

Było po czwartej, gdy Peter uporał się z łąką i wrócił na podwórze. W tym momencie nadjechała z miasta Lydia. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest w lepszym humorze niż przed paroma godzinami.

— Peterze! — zawołała radośnie podbiegając do niego. — Wypatrzyłam cudowną restaurację w tej zapadłej dziurze. Właściciel jest rodowitym Francuzem, wprost nieprawdopodobne, skąd się tutaj wziął. Musimy dziś jechać tam na kolację. Źle się czuję w tym domu. Nieustannie mam wrażenie, że sufit lada chwila runie mi na głowę, myślałam więc...

— Wykluczone — przerwał jej kategorycznie Peter. — Wpierw muszę wydoić krowy. Wcześniej nie pojadę.

— Co też opowiadasz! Przecież ci ludzie tutaj mogą to z powodzeniem zrobić sami — parsknęła Lydia.

Celia właśnie wracała z ogrodu, gdy doszedł jej uszu zdradzający irytację komentarz Lydii. Już, już miała na końcu języka ciętą odpowiedź, lecz natychmiast z niej

zrezygnowała. Nie chciała się zdradzić, że była świadkiem owej sceny, przystała więc w miejscu, gdzie nie mogli jej dojrzeć.

Peter odpowiedział coś swojej narzeczonej, ale zrobił to tak cicho, że Celia nie mogła zrozumieć poszczególnych słów.

— Dobrze więc, rób, jak chcesz — Lydia była wyraźnie rozzłoszczona, świadczył o tym podniesiony głos. — Powiedziałam Gaspardowi, że będziemy tam o szóstej, nie miej zatem żalu, gdy jedzenie okaże się nie. takie, bo ty koniecznie musiałeś najpierw wydoić krowy!

Gaspard! Dlaczego Lydia musiała odkryć właśnie tę restaurację, gdzie ona, Celia, była razem z Adamem?! Nie Adamem, Peterem! Aż coś jej się działo na myśl, że tego wieczoru będzie tam siedział z tą wystrojoną lalką.

Wróciła do kuchni w momencie, gdy Lydia oznajmiła cioci Meg, że ani ona, ani Peter nie będą na kolacji.

— Podejrzewam zresztą, że i pani nie ma ochoty na kolację, nawdychawszy się przez cały dzień tego wstrętnego odoru — rzekła marszcząc niechętnie nos. — W każdym razie ja nie mogłabym przełknąć tutaj ani kęsa.

Meg niosła właśnie tacę z gotowymi marynatami. Już otwierała usta, żeby odpowiedzieć tej bezczelnej kobiecie, ostatecznie jednak postanowiła zamilczeć. Z furią odwróciła się pokazując Lydii plecy.

Celia przypasała fartuszek i zniknęła za bocznymi drzwiami. Tamci dwoje mieli jechać do miasta, nie pozostało więc nic innego, tylko jak najszybciej przygonić krowy.

Zrobiła to w wyjątkowym w pośpiechu, niemiłosiernie poganiając zwierzęta, gdyż nie miały ochoty zrezygnować z soczystej trawy.

Peter już czekał. Ledwie krowy stanęły na swoich miejscach, w szalonym tempie zabrał się do roboty. Celia naprawdę musiała się spieszyć, by dotrzymać mu kroku. Nic dziwnego, Peterowi było śpieszno jechać z narzeczoną do miasta. Jeszcze zanim wszystko zostało

skończone, opuścił oborę, usłyszała tylko skrzypienie ciężkich wrót.

Na progu kuchni stanęła oszołomiona. Lydia chodziła nerwowo tam i z powrotem z wysoko uniesioną głową i groźnymi błyskami w oczach. Widocznie zapomniała, gdzie się znajduje, bo była wystrojona, jakby wybierała się na jakieś wyjątkowo uroczyste przyjęcie w Bostonie czy Nowym Jorku. Biała jedwabna suknia odstaniała jej ramiona i połowę pleców, głęboko wycięty przód uchwycony był dwiema skrzyżowanymi na karku szarfami, a wąska talia podkreślona naszytym pajątkami paskiem. Przy każdym jej ruchu rozsiewała dokoła blask kolia z białego złota i przepięknych szmaragdów o nasyconej zieleni.

Ujrzawszy Celię nie omieszkała uśmiechnąć się z wyższością, pewna wrażenia, jakie wywierała. Sprawiało jej to widoczną przyjemność.

— Jak pani myśli, jest dość ciepło, żeby wybierać się w takiej sukience? — rzuciła od niechcienia. — A może jednak powinnam wziąć narzutkę z koronek? Gdyby tak nagle się oziębiło...

Celia nie odpowiedziała, lecz Lydia nie zwróciła na to uwagi, zawsze zresztą traktowała ją jak powietrze.

— Taki wypad dobrze zrobi Peterowi — ciągnęła. — Wreszcie zje to, do czego jest przyzwyczajony. Wystarczy na niego popatrzeć, żeby wiedzieć, jak bardzo mu brakuje odpowiedniej oprawy.

Stanęła przed Celią mierząc ją od stóp do głów. Dopiero teraz Celia odzyskała mowę.

— Jestem przekonana, że Peterowi bardziej się tu podobało, niż pani sądzi — wycedziła oburzona.

Odwróciła się z impetem, o mały włos nie zderzając się z Peterem, który w tym właśnie momencie wychodził ze swego pokoju, i ponownie oniemiała. Stał przed nią elegancki mężczyzna w szytym na miarę garniturze, doskonale dobranej koszuli i krawacie o wyrafinowanym, nie rzucającym się w oczy deseniu. Przez ułamek sekundy

miała wrażenie, że Peter i Lydia wyszli z za kulis teatru, gdzie się przypadkiem zabłąkali. Podeszła do okna i smętnie patrzyła w ślad za mercedesem znikającym właśnie na szosie.

— Nie przygotowuj zbyt wiele dla mnie — rzekła do ciotki. — Zjem tylko odrobinę zupy, a potem zaniosę tacę z jedzeniem wujkowi.

Poszła do łazienki, wzięła prysznic, po czym stanęła przed szafą. Nie było w niej niczego, co by miała ochotę włożyć. Nawet sukienka kupiona kiedyś na przyjęcie z okazji urodzin Gavina nie zyskała jej aprobaty, mimo iż jeszcze niedawno wydawała się szykowna, nie mówiąc już o skromnej białej sukience, w której była z Peterem w mieście. Nie umywały się one do eleganckich strojów Lydii.

Zatrzasnęła gniewnie szafę i zeszła do kuchni, gdzie Meg przygotowała jej już talerz zupy i ukroiła świeżo upieczonego chleba. Celia jednak wyraźnie nie miała apetytu, więc po chwili odłożyła łyżkę i wzięła tacę z jedzeniem dla Berta.

— Tylko nie pozwól mu wstać — zawołała jeszcze za nią Meg. — Koniecznie chce wstawać do jedzenia, ale doktor mówi, że to jeszcze za wcześnie.

Wujek Bert był rzeczywiście wyjątkowo niecierpliwym pacjentem. Ponieważ w swoim życiu nigdy nie miał czasu czytać godzinami albo zajmować się czym innym niż praca przy gospodarstwie, teraz nudził się śmiertelnie.

Widząc wchodzącą Celię rozjaśnił się trochę.

— Przyniosłam ci kolację. Jest dzisiaj zupa i chleb z szynką.

— I tym przyzwoity człowiek ma się nasycić? — mruknął Bert rzuciwszy okiem na tacę.

— Nie bądź niesprawiedliwy, już ciocia Meg cię nie głodzi, to pewne. A dziś przez cały dzień robiła marynaty i nie miała czasu ugotować obiadu złożonego z wielu dań. Niczego tu przecież nie brakuje!

Stary człowiek popatrzył uważnie na siostrzenicę, po czym nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Już dobrze, dobrze, dziewczyno. To był tylko żart. A przy okazji, co z naszą damą? Nie wzdraga się jadać przy jednym stole z ludźmi takimi jak my?

Twarz Celi od razu spochmurniała.

— Ona i... oboje pojechali na kolację do miasta.

— Tak, tak — Bert podłożył sobie poduszkę pod plecy i przysunął tacę. — Widziałem, jak szli do samochodu, myślałem więc...

— Ależ wujku, nie powinieneś wstawać — Celia próbowała zmienić temat.

— Pst, nie tak głośno. To tylko ten jeden raz. Daję słowo! — Zaczął jeść. Celia przysiadła na krześle obok łóżka.

— Wiesz — rzekł po chwili — już wtedy nie mogłem jej ścierpieć, gdy przyszła tutaj z Meg. Starła się co prawda być nadzwyczaj uprzejma, ale mimo jej dobrych manier aż za dobrze wiedziałem, co o mnie myśli.

— Tak, ona jest... trochę dziwna. Nasz styl życia wydaje jej się co najmniej egzotyczny — Celi z trudem przyszło kontynuować rozmowę o Lydii, lecz Bert ciągle był myślami przy niej.

— Mnie dziwi tylko, że jak dotąd nie uskarżała się na jedzenie — burknął między dwiema łyżkami zupy.

Celia oglądała swoje ręce.

— Nie ma tu niczego, czym by mogła się zająć. Na pewno przeraźliwie się nudzi.

— Więc niech się jak najszybciej stąd zabiera. Ale trzeba przyznać, że Adam czy jak mu tam... Peter to wyjątkowo uczciwy facet. — Widząc zboląły wyraz twarzy swej siostrzenicy ujął jej rękę. — To już nie potrwa długo, lada dzień wstanę, zobaczysz.

Popatrzyła na niego ze smutnym uśmiechem.

— Tak, wujku Bercie. Wstaniesz.

Doskonale wiedziała, że chce ją pocieszyć, okazać, że jej

współczuje i martwi się o nią. Jego żywe oczy zdradzały, że wie więcej, niżby przypuszczała.

Odniosła tacę do kuchni, po czym wróciła do Berta i spędziła wieczór grając z nim w karty. Próbowwała za wszelką cenę skoncentrować się na grze, aby nie musieć myśleć o małej przytulnej restauracji w mieście, lecz nie za bardzo jej się to udawało.

— Halo, obudź się. Wyszłaś złą kartą. Co się stało? W ogóle nie uważasz — zrzędził wujek.

Celia wzięła z powrotem kartę, starając się już nie popełnić błędu. Mimo to Bert zdecydowanie wygrał partię. Nie wyglądał jednak na zadowolonego.

— Jestem zmęczony — skłamał odkładając karty. — Ty także powinnaś się położyć.

Wkrótce w całym domu zrobiło się ciemno i cicho. Meg też poszła spać, zrozumiałe było bowiem, że Peter i Lydia wrócą bardzo późno.

Celia leżała w łóżku założywszy ręce pod głowę. Jej myśli uparcie towarzyszyły eleganckiej parze, a choć zawzięcie broniła się przed tym, co raz to przed jej oczami jawiły się sceny, które mogły właśnie teraz, w tym momencie rozgrywać się w srebrnoszarym mercedesie... Może spędzą poza domem noc i wrócą dopiero świtem?

Gdy jej oczy już na dobre zamykały się do snu, z dołu dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu i kroki na schodach. Popatrzyła na zegarek i stwierdziła ze zdumieniem, że nie ma jeszcze północy.

6.

Następny dzień Peter zaczął od rozrzucania siana. Jak zawsze od momentu przybycia Lydii, tak i tym razem był milczący. Owszem, jeden jedyny raz otworzył usta, by stwierdzić, że jeżeli pogoda się nie zmieni, będzie można zacząć belowanie.

Przed rozpoczęciem zwózki trzeba było jeszcze zamontować przenośnik po drugiej stronie stodoły, gdzie pozostało trochę miejsca na siano z ostatnich dwóch łąk.

Bert opisał w najdrobniejszych szczegółach, jak to zrobić i na co uważać. Posunął się nawet do tego, że kazał sobie ustawić fotel koło okna i stamtąd dowodził całą operacją, doskonale zresztą wiedząc, że to wszystko nie jest takie proste, jak by się na pozór wydawało. Nie można tu było sobie pozwolić na jeden fałszywy gest.

Meg przyglądała się z werandy, a o Lydii lepiej nie mówić. Chodziła niecierpliwie tam i z powrotem nie kryjąc swego oburzenia.

Najpierw należało uwolnić górną partię przenośnika od ciężkiego stalowego łańcucha. Peter wdrapał się na górę, odpiął łańcuch, po czym stanął na szeroko rozstawionych nogach na samym skraju dachu stodoły. W ręce trzymał grubą linę, którą wcześniej umocował na końcu przenośnika, a teraz wolno popuszczał, dopóki stalowe rusztowanie nie wylądowało na przyczepie.

— Zrobione — krzyknął triumfalnie. — Wyszło nawet lepiej, niż się spodziewałem.

Błyskawicznie spuścił się na ziemię, wskoczył na przy-

czepę i przytrzymał przerośnik, gdy tymczasem Celia usiadła na siodelku ciągnika. Peter ponownie wdrapał się na dach stodoły, tym razem z drugiej strony.

— Kiedy zacznę ciągnąć — zawołał do Celii — spróbuj ostrożnie wycofać ciągnik.

Uchwycił mocno linę ciągnąc równomiernie. Rzeczywiście, przerośnik zaczął się powoli unosić do góry, aż wreszcie jego koniec znalazł się nad wejściem stodoły i Peter przytwierdził go łańcuchem.

— Udało się! — krzyknął z dumą do Celii. — Można podejżdzać z ładunkiem siana!

Celia też pomachała mu ręką, oddychając głęboko, lecz naraz rzuciło jej się w oczy, że jego twarz na powrót spochmurniała. Westchnąwszy wprowadziła ciągnik do garażu. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że wrócił nastroj pierwszych tygodni. O Lydii zapomniała zupełnie, lecz w domu stała się mimowolnym świadkiem sceny, jaką narzeczona urządziła Peterowi.

— Peterze, jak możesz tak ryzykować! Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to niebezpieczne?! Po cóż u licha robisz z siebie niewolnika tych ludzi? Jeśli nie mają pieniędzy na pomocnika, odpal im jakąś sumę i znikajmy.

— Lydio, ja przyrzekłem. Ile razy mam ci to powtarzać?

Zobaczywszy Celię oboje umilkli. Peter wyszedł nie patrząc na nią, za to Lydia obrzuciła ją złym spojrzeniem.

Ze spuszczoną głową powlokła się do ogrodu. Ścigał ją odgłos zapuszczanego motoru, a następnie pisk opon ruszającego mercedesa.

Chwiejnym krokiem szła wśród swych ukochanych grządek, schylając się raz po raz, by wyrwać jakieś zielsko. W ogrodzie nie było dla niej nic do roboty, postanowiła więc nazrywać malin. Okazało się jednak, że ptaki ją uprzedziły pozostawiając parę marnych owoców. Nie opłacało się tego zbierać.

Jej myśli obsesyjnie krążyły wokół tego, co Lydia

w gniewie proponowała Peterowi. O, jak chętnie wykrzyczałaby wobec tej kobiety swoje zdanie! Prawdę mówiąc nie wiedziała, co ją od tego powstrzymuje. Czyżby to były tradycyjnie pojmowane obowiązki gospodarza wobec gościa, nawet jeżeli ten gość zachowywał się arogancko?

Powinna była być wdzięczna Peterowi, że dotrzymał słowa i pozostał do końca sianokosów. I naprawdę była, tyle że, musiała to przyznać sama przed sobą, może lepiej by się stało, gdyby nie miał tak rozwiniętego poczucia obowiązku. Wtedy chyba łatwiej byłoby jej znieść rozczarowanie.

Zamiast tego była zmuszona co dzień pracować u jego boku tęskniąc za nim, za jego miłością, a przy tym wiedząc, że to marzenie nigdy się nie spełni.

Zresztą czyż mogła mieć za złe Peterowi, że lada chwila pospieszy z narzeczoną do życia, które wcześniej było jego udziałem? Miejsce człowieka takiego jak on było w Bostonie albo w Nowym Jorku, w wyrafinowanym towarzystwie, na przyjęciach i spotkaniach towarzyskich. Bardziej pasował do niego smoking i frak — niż dżinsy czy dres. Może gdyby Lydia go nie odnalazła... Próżne to były spekulacje, ona, Celia, musiała stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. W każdym razie wiele by dała za to, by nie spotkać się teraz z Peterem, a zbliżał się czas udoju...

Wszystko odbyło się jak zwykle. Peter pracował szybko, zręcznie, lecz bez słowa. Celia co prawda zdążyła się już przyzwyczaić do jego milczenia, tym razem jednak podziałało ono na nią wyjątkowo przygnębiająco. Jego ponure spojrzenie, zmarszczone czoło, do tego gwałtowne, zdradzające wewnętrzną pasję ruchy... Dosłownie mroził wszystko dokoła. Celia cała się trzęsła. Nawet jeżeli jego pamięć niezupełnie jeszcze wróciła, to perory Lydii, jej sposób bycia i przywiezione zdjęcia niewątpliwie zrobiły swoje. Po prostu uświadomił sobie, kim naprawdę jest, Peterem McEvenem, milionerem. Stąd zapewne uważa, iż prace przy gospodarstwie są poniżej jego godności

i choćby z tego względu nie może się doczekać końca pobytu na farmie.

Lydia była na kolacji w Harristown. Widocznie nie życzyła sobie zasiąść przy wspólnym stole. Wróciła w dużo lepszym nastroju i nawet raczyła się uśmiechnąć do Meg i Celi. Natychmiast wyciągnęła Petera na spacer brzegiem morza. Wstał bez słowa sprzeciwu.

Celia patrzyła za nimi z okna. Lydia uwiesiła się u jego ramienia trajkocząc bez przerwy. Peter miał spuszczoną głowę i wydawał się przysłuchiwać.

Po chwili zniknęli jej z oczu. Szybko odwróciła się od okna usiłując poskromić własną wyobraźnię, która rysowała przed nią zniechęcające obrazy. Oto Peter bierze narzeczoną w ramiona... Uprzątnęła stół i wzięła się do zmywania naczyń, ale i to prozaiczne zajęcie nie potrafiło od niej odpędzić dręczących myśli. Powtarzała sobie raz po raz, że nie może dać się ponieść uczuciu, co z tego, czuła się jeszcze gorzej.

W pewnym momencie przyjrzała się swym rękom. Paznokcie były krótko obcięte, a opalone dłonie zgrubiałe od ciężkiej pracy. Jakże inaczej wyglądały ręce Lydii! Szczupłe, o długich lakierowanych paznokciach, ozdobione wspaniałym pierścieniem ze szmaragdem... Niewykluczone, że Peter dokonał już porównania i trudno było przypuszczać, że wypadło ono na korzyść jej, Celi. Może teraz wręcz się wstydził, że kiedyś w chwili słabości robił jej jakieś nadzieje? A może postanowił wymazać z pamięci tamte sceny?

Doprowadzona do ostateczności zatęskniła naraz, by wreszcie obydwójce wsiedli do mercedesa i raz na zawsze zniknęli z jej życia...

Przedtem jednak należało jeszcze zwieźć resztę siana. Celia wdrapała się na siodelko traktora, rada z głośnej pracy silnika i brzęku podskakującej na nierównej drodze prasy, bo to skutecznie uniemożliwiałoby rozmowę.

Tym razem nic nie zapowiadało zmiany pogody, zanosiło się na niemiłosierny upał.

Łąka była niewielka, więc jeszcze przed obiadem udało im się umieścić w stodole spory ładunek siana. Uporawszy się z nim weszli do domu, obmyli zimną wodą rozpalone twarze i wypili przygotowaną przez Meg zimną herbatę.

Lydii nigdzie nie było widać. To Celia pierwsza o nią zapytała, a Meg wskazała bez słowa przez okno w stronę plaży. Tam, na olbrzymim ręczniku, narzeczona Petera zażywała kąpieli słonecznej. Miała na sobie nader skąpe żółte bikini, włosy ukryła pod białym turbanem, a na oczy nałożyła specjalne osłony.

— Wstała pół godziny temu — rzekła Meg — i z miejsca oświadczyła, że idzie na plażę.

Meg była zadowolona z takiego obrotu sprawy — nie cierpiała, jak Lydia kręciła się jej po domu.

Akurat gdy ostatnia bela siana przewidziana do zwiezenia tego dnia znalazła się w stodole, wróciła z plaży Lydia. Wielki ręcznik przerzuciła przez ramię, w ręce niosła turban. Widząc Petera ze słodkim uśmiechem podążyła ku niemu.

— Nie jest to Riwiera, kochanie — zaszczebotała wzruszając ramionami — ale przecież muszę jakoś zabić czas, skoro ty przedkładasz nad me towarzystwo jeżdżenie jakimiś strasznymi maszynami po okolicy.

Celia z trudem powstrzymała się przed wygarnięciem tej zarozumiałej kobiecie, co naprawdę o niej myśli. Taka Lydia prawdopodobnie w swym życiu nie podniosła nic cięższego niż własna kosmetyczka!

Podczas kolacji Lydia nie zdradzała apetytu. Pewnie nie może się doczekać, kiedy znowu pójdzie z Peterem na spacer, myślała gniewnie Celia.

Ona jednak wyjęła albumy.

— Chodź tutaj, Peterze, obejrzymy resztę zdjęć — rzuciła przez ramię. — Pani też, Celio. Prawdopodobnie

nigdy nie będzie miała pani okazji zobaczyć, jak wyglądają przyjęcia w naszych sferach.

Tym razem Celia nie dała się namówić. Stanowczo oświadczyła, że przyrzekła wujkowi zagrać z nim w karty. Posprzątawszy kuchnię od razu poszła na górę.

Doktor pozwolił już Bertowi przesiadywać w fotelu, wujek zaś postanowił, i wyglądało na to, że nic nie zmieni jego decyzji, iż następnego dnia zejdzie na śniadanie do kuchni.

Tak naprawdę jednak Bert był bardziej wyczerpany, niż chciał się do tego przyznać. Po dwóch partiach zaniechał gry, Celia więc wymknęła się po cichutku z jego pokoju, a że było jeszcze za wcześnie na pójście do łóżka, postanowiła posiedzieć na werandzie. Ostrożnie otworzyła drzwi do kuchni, licząc na to, że tym dwojgu już znudziło się oglądanie zdjęć. Niestety, ciągle jeszcze siedzieli tam i Celi nie udało się już wycofać, gdyż z miejsca została odkryta przez Lydię i niemal przemocą posadzona przy stole.

Mimo iż doskonale wiedziała, że Lydia ma w tym swój cel, nie umiała się oprzeć temu despotycznemu zaproszeniu. Co tu dużo mówić, była też po prostu ciekawa.

Lydia wyszukała zdjęcia, na których w większości była ona sama, za każdym razem w innej sukni, obwieszona inną biżuterią. Na kilku fotografiach stał u jej boku Peter — to roześmiany, to znów poważny. Były też wypadki, że kamera uchwyciła go nie przygotowanego. Na jednym z takich zdjęć, oparty o futrynę, przyglądał się z ironicznym uśmiechem tańczącym parom, na innych miał zdradzającą niecierpliwość minę i zmarszczone brwi. Oczywiście były to wyjątki, jak zdążyła stwierdzić, z reguły bowiem przybierał obowiązujący w takich wypadkach uśmiech.

Lydia szukała czegoś w stosie zdjęć i wycinków z gazet, wreszcie wzięła do ręki spięte spinaczem jakieś artykuły i podała Celi.

— Proszę to przejrzeć. Wyrobi pani sobie zdanie na temat rangi naszej uroczystości.

Celia rzuciła okiem na wetknięty jej plik. Były to wyłącznie sprawozdania z przyjęcia zaręczynowego. Tytuły aż krzyczały: *Uroczystość zaręczynowa wydarzeniem roku. Aristokracja bostońska brata się z nowojorskim kapitałem*, i jeszcze parę nagłówków utrzymanych w tym samym tonie.

Przy okazji Celia natknęła się na coś, co ją szczególnie zainteresowało. Z pewnością musiał to być wycinek z jakiegoś brukowca.

... wydaje się, że pogarszające się warunki ekonomiczne są także udziałem niektórych rodzin arystokratycznych, zmuszając ich członków do wyjścia poza własne elitarne kręgi. Znamiennym przykładem jest tu Lydia Burke, której upodobanie do kosztownych strojów, drogich samochodów i luksusowego stylu życia znane jest w całym Bostonie. Przez małżeństwo z superbogatym Peterem McEvenem chce ująć krachowi finansowemu, grożącemu jej najbliższymi. Dziadek McEven wywodził się z nizin społecznych, reprezentując to, na co Burke'owie zapewne kręciliby nosem, gdyby nie bajeczny majątek, który ten człowiek zgromadził własnymi rękami i który przeszedł na jego wnuka Petera. W tym kontekście jak najbardziej trafne wydaje się powiedzenie, że pieniądze nie śmierdzi...

— O Boże, skąd się to tutaj wzięło?! — Lydia nerwowym gestem wyrwała Celi wycinek z ręki. — Doprawdy nie wiem, co wpadło do głowy mojej sekretarce, by załączać tu takie wierutne bzdury...

Wściekła zmięła artykuł, po czym szybko sięgnęła do stosu zdjęć i wzięła pierwsze z brzegu, na którym w turkusowej sukni stała obok Petera.

— O, proszę popatrzeć na to zdjęcie — rzekła śpiesznie do Celi, starając się za wszelką cenę zatuszować wymowę tych kilku wiele mówiących zdań. — Zostało zrobione podczas otwarcia Galerii Bennego. A to są Graysonowie — wskazała na parę stojącą obok niej i Petera.

Kobieta na fotografii była uwieszona u ramienia mężczyzny i uśmiechała się promiennie do kamery, przeczuciwszy drogę futro przez ramię.

— Peterze, przypominasz sobie Jacka i Lucy Graysonów?

W napięciu przyglądała mu się oczekując odpowiedzi. Wreszcie skinął głową.

— Owszem. Jack pod koniec party tańczył na stole, a Lucy... tak, Lucy ma małego teriera, którego poi szampanem...

— Doskonale, Peterze! — Lydia była uszczęśliwiona. — Naprawdę wraca ci pamięć! Tak się cieszę! Bo prawdę mówiąc zaczynałam się już martwić...

Celia najchętniej zapadłaby się pod ziemię, tak jej było wstyd. Lydia wydawała się zachwycona faktem, że Peter przypomniał sobie rzeczy, które według niej samej niewarte były najmniejszej wzmianki. Wstała i bez słowa opuściła kuchnię.

Peter był milczący, tak milczący, a przy tym ponury, że nawet przez chwilę uśmiech nie gościł na jego twarzy. Kiedy Lydia chciała go wziąć na spacer po plaży albo jechać z nim wieczorem do miasta, towarzyszył jej bez słowa sprzeciwu, ale też i bez entuzjazmu. Z Celią rozmawiał tylko wtedy, gdy już całkiem nie dało się tego unikać. To prawda, praca na tym nie cierpiała, lecz przecież mogło być inaczej. Przyglądała mu się ukradkiem, w nadziei, że być może coś wyczyta z tej kamiennej twarzy, że w jego oczach pojawi się jakiś cieplejszy błysk, błysk, który tak dobrze знаła z okresu poprzedzającego przybycie Lydii... Daremnie. Kiedy tak na niego patrzyła, od razu stawały jej przed oczami obejrzone zdjęcia: Peter w smokingu, z kieliszkiem szampana w dłoni, Peter na jachcie dzierżący właśnie zdobyty puchar...

Zapach świeżo wydojonego mleka przywołał Celię do rzeczywistości. Uwijający się między krowami Peter miał

na sobie dzinsy i prostą koszulę, była jednak przekonana, że liczy godziny do wyjazdu, choćby z tego powodu, by móc wreszcie włożyć swoje szyte na miarę wytworne rzeczy.

Lydia spędzała czas albo na plaży, gdzie godzinami potrafiła leżeć w słońcu, albo z termosem herbaty i stosem magazynów sadowiła się pod wielkim klonem. Nie uszło uwagi Celi, że co chwilę popatruje na nią i na Petera, mało tego, odnosiła wręcz wrażenie, że te spojrzenia stają się coraz bardziej niespokojne. Nawet tej kobiecie, która nie miała pojęcia, co tak naprawdę Peter i Celia robią, musiała rzucić się w oczy panująca między nimi harmonia. Parę razy wstawiała i podchodziła bliżej, obserwując Celię i swego narzeczonego spod zmrużonych powiek. Oczywiście nie przyszło jej do głowy, by zaoferować własną pomoc. Zawsze kiedy Celia dostrzegła utkwione w siebie zielone oczy, myślała z rozpaczą, że przecież ta kobieta nie ma żadnych powodów do obaw. Odkryta przez nią harmonia — jeśli rzeczywiście o takiej można było mówić — istniała tylko przy pracy.

Wczesnym popołudniem Peter skosił ostatnią maleńką łączkę. Wystarczyło więc teraz odczekać, aż siano wyschnie, sprasować w bele, a następnie zwieźć do stodoły. Jedno spojrzenie w niebo wystarczyło Celi, by się upewnić, że pogoda nie spleta Peterowi figla i już niebawem będzie mógł opuścić z Lydią farmę.

Bert otrzymał wreszcie od lekarza pozwolenie spędzania całych dni na dworze. Gdy nie siedział na werandzie, chodził wokół domu i zaglądał w każdy kąt, wydając dyspozycje, co w jakiej kolejności należy robić, przy czym sprawiał wrażenie zadowolonego z rzeczy, które do tej pory udało się Celi i Peterowi zakończyć.

— Twardy z ciebie facet — rzekł do Berta doktor Morgan, zbadawszy go raz jeszcze. — Nie spodziewałem się, że tak szybko się podniesiesz. Pamiętaj jednak o tym, że musisz uważać i unikać podnoszenia ciężkich przedmiotów.

Bert wprawdzie przyrzekł to lekarzowi, lecz tak naprawdę wprost nie mógł doczekać się momentu, kiedy weźmie wszystko na powrót w swoje ręce. Zbyt wiele napracował się w życiu, żeby teraz zadowolić się stanem z boku. Dla niego po prostu nie istniało życie bez pracy.

— Ale między nami mówiąc, wezmę się serio do roboty dopiero wtedy, gdy ta paniusia z Bostonu raz na zawsze zniknie mi z oczu — zwierzył się żonie.

Lydia bowiem stała się prawdziwą plagą dla mieszkańców farmy. Nie wiedząc, co z sobą począć, denerwowała Meg wszelkimi możliwymi zachciankami i życzeniami, które trudno było sobie nawet wyobrazić.

Na pewno bardziej by jej odpowiadało zamieszkanie w hotelu w mieście, co do tego nikt nie miał wątpliwości, lecz oznaczałoby to, że pozostawi Petera bez nadzoru. Przecież była tam Celia, co prawda tylko wiejska dziewczyna, ale zawsze... Chcąc za wszelką cenę uniknąć jakichkolwiek niespodzianek z tej strony, wybrała nudę.

Długie kąpiele słoneczne tak zaogniły jej skórę, że ani olejek, ani żadne inne środki już nie skutkowały. Z tego powodu stała się jeszcze bardziej nieznośna, nie mówiąc o wiecznym narzekaniu na samą plażę, zbyt wąską i na dodatek raczej kamienistą.

Wieczorami siadywała na werandzie, wachlując się dla ochłody chusteczką.

— Nie umiem pojąć, jak ludzie mogą żyć bez urządzeń klimatycznych — rzuciła pewnego dnia z wyrzutem.

Dopiero gdy z lakonicznych wypowiedzi Petera dowiedziała się, że robota ma się ku końcowi i że na zwiezione ostatnich bel siana wystarczy półtora dnia, ożyła na nowo.

Gdy jeden z ostatnich ładunków siana znalazł się już w stodole, Peter poszedł do kuchni napić się ostudzonej herbaty. Lydia nie opuszczała go teraz ani na chwilę, drepcząc obok niego w swych włoskich sandałkach i zarazem pilnie bacząc, aby ich nie ubrudzić.

Celia jak zwykle szła w pewnym odstępnie za nimi, nie w takim oddaleniu jednak, by nie usłyszeć słów Lydii.

— Wreszcie, kochanie — Lydia odetchnęła głęboko i położyła rękę na ramieniu Petera. — Wreszcie koniec z tą koszmarną egzystencją. Wyjedziemy pojutrze wczesnym rankiem, najpierw do Nowego Jorku. Zadzwoń do mamy i do Graysonów. Resztę jutrzejszego dnia przeznaczymy na doprowadzenie się do porządku. Trzeba coś zrobić z tym wstrętnym wiejskim odorem, którym zdążyliśmy przesiąknąć, ty przede wszystkim...

Peter jej przerwał, mówił wszakże tak cicho, że Celia nie dosłyszała, co powiedział. Reakcja Lydii była w każdym razie jednoznaczna.

— O czym ty mówisz?! — natarła z gniewem na niego. — Oczywiście, że jedziemy. Stary jest na powrót zdrowy, więc on i jego siostrzenica nie potrzebują już twej pomocy. Zresztą tak czy owak nie potrafią ci się nigdy odwdziżyć za to wszystko, co dla nich zrobiłeś.

Celia zachwiała się jak ugodzona słysząc te słowa. Nie dotarła do niej odpowiedź Petera, widziała za to, jak prostują się jego ramiona, zauważyła zniecierpliwiony ruch ręki.

Zniknęli za drzwiami domu i trwało ładną chwilę, zanim Celia poczuła się na siłach, by wejść za nimi.

Petera w kuchni nie było, widocznie brał kąpiel, za to Lydia posłała jej wymuszony uśmiech.

— Pojutrze rano wyjeżdżamy. Jestem przekonana, że z rozkoszą się nas pozbędziecie.

Meg i Bert nie odpowiedzieli, Celia wzruszyła ramionami. Przy kolacji panował tak ponury nastrój, jakiego nie pamiętała. Peter jadł, nie odrywając wzroku od talerza. Celia nie odzywała się słowem, jej wujostwo także. Podniecytowana Lydia nie potrafiła usiedzieć przy stole. Wypiła tylko filiżankę herbaty, po czym szybko się poderwała, pod pretekstem, że chce wypalić papierosa. Ledwie Peter odsunął krzesło, natychmiast znalazła się obok niego.

— Kochanie, jedźmy do miasta na drinka, dobrze? — przymilała się. — Bo inaczej umrę tu z nudów!

Gdy wyjechali, Celia przez moment miała wrażenia, że Peter opuścił ją na zawsze, i serce ścisnęło się jej boleśnie. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że zostawili swe rzeczy i że przecież po nie wrócą. Mimo wszystko chciała go jeszcze zobaczyć. Tego wieczora usnęła natychmiast i przespała całą noc bez męczących snów.

Obudziła się tak późno, że Peter zdążył już wydoić krowy i wygonić je na pastwisko.

Ostatni raz jechali na łąkę. Potem, przy każdej rzuconej na przenośnik beli siana, Celia myślała z rozpaczą, że lada moment nastąpi to najgorsze. Peter nie miał już powodu, by zostać dłużej na farmie, musieli się więc rozstać, i to rozstać na zawsze, bez cienia nadziei na to, że ich drogi kiedykolwiek się spotkają.

Peter pracował szybko, jak automat. Jego twarz przypominała maskę i nie dało się z niej wyczytać myśli ni uczuć. Przy obiedzie jadł wyjątkowo mało, za to wypił niesamowitą ilość wody źródlanej, która tak mu od początku smakowała.

Lydia dopiero co wstała. Nie usiadła przy stole, tylko chodziła tam i z powrotem z ponurą miną paląc papierosa. Najwidoczniej już dawno straciła cierpliwość, nie mogąc doczekać się chwili odjazdu. Dla niej godziny musiały się ciągnąć w nieskończoność, gdy tymczasem roztrzęsiona Celia nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że pozostała jedna jedyna noc, którą Peter spędzi pod ich dachem.

Odetchnęła głęboko, próbując zwalczyć ból. Czyż od początku nie wiedziała, że któregoś dnia odejdzie? Pokochała Adama, Adam za pośrednictwem Lydii przedzierzgnął się w Petera, Peter zaś musiał odejść. Zresztą był to już prawdopodobnie inny człowiek niż ten, który z taką radością poznawał tajniki świata przyrody i życia na farmie...

Późnym popołudniem maszyny i narzędzia, wyczyszczone i naoliwione, znalazły się w szopie. Teraz pozostało tylko rozmontować przenośnik. I tym razem tego skomplikowanego zadania udało się dokonać bez nieprzewidzianych trudności. Peter odczepił łańcuch i powolutku opuścił urządzenie wprost na przyczepę. Pod stodołą tak ustawił przenośnik za pomocą wciągarki, że zabezpieczony od deszczu i wiatru wystawał nieco ponad dach. Wtedy obrócił się do Celi, która siedziała na siodełku ciągnika.

— No cóż — rzekł powoli — to by było wszystko.

Celia w napięciu czekała na jedno jedyne słowo skierowane wyłącznie do niej — nic takiego niestety nie nastąpiło, Peter po prostu odszedł.

Gdy tak patrzyła w ślad za nim, naraz przyszło jej do głowy, że jeszcze nie wszystko zostało zrobione, czekała ich bowiem wieczorna praca w oborze. Doszła do wniosku, że powinna się przebrać, aby przydać jej czegoś szczególnego. Pobiegła pędem do domu, wzięła prysznic, po czym wciągnęła świeżo uprane dżinsy i włożyła jasnoniebieską odświętną bluzkę.

Gdy starannie uczesawszy włosy na powrót znalazła się przed domem, ujrzała Lydię wstawiającą właśnie walizki do bagażnika samochodu. Natychmiast zorientowała się, co to oznacza, tym bardziej że Lydia miała na sobie tę samą sukienkę i te same buty na wysokich obcasach, w których przyjechała. Lydia nie zamierzała czekać do rana, lecz zaraz po skończonej pracy przekonać Petera, aby natychmiast z nią wyjechał. Być może zresztą zostało to już wcześniej uzgodnione i on nie miał nic przeciwko temu.

Celia ukradkiem otarła łzy. Nie wiedziała, co robić. Musiała przejść obok Lydi, a gdyby ta jeszcze nie omieszkła rzucić jednej ze swych denerwujących uwag, to ona, Celia, nie ręczyła za siebie.

Wzdrygnęła się widząc nadchodzącego Petera i ukryła się za węglem domu.

— Zapakowałam nasze rzeczy, Peterze — dobiegł ją głos Lydii. — Możemy przecież wyjechać już dziś. Weź prysznic i przebierz się w ubranie, które przygotowałam ci na łóżku. To, co masz na sobie, najlepiej od razu wyrzucić.

— Spakowałaś rzeczy? — W głosie Petera brzmiało niedowierzanie.

— Naturalnie! Nie powiesz mi chyba, że nie chcesz jak najszybciej stąd wyjechać! Peterze, nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że wreszcie opuszczam tę przeklętą farmę! Nie musimy dziś jechać daleko, zatrzymamy się w pierwszym przyzwoitym hotelu na noc. Wierz mi, nie umiem się zmusić do uprzejmości wobec tych ludzi. Ci niewykształceni starzy i ta cała Celia, która nie umie odróżnić futra z norek od soboli...

Celia nie mogła tego dłużej słuchać. Jak ta kobieta śmiała wyrażać się w ten sposób o rodzinie, która przyjęła ją tak gościnnie?! Zacisnęła pięści. Najchętniej by wypadła ze swego ukrycia i rzuciła się na Lydię. Ale przecież był jeszcze Peter. A jeżeli wtórował piskliwemu śmiechowi Lydii, dowcipkując na ich temat?!

Rozpłakała się i popędziła przed siebie jak ścigana. Oślepiąca od łez, bez tchu, nie wiedząc kiedy znalazła się na plaży u stóp skały Gavina. Łkając wdrapała się na górę i skulona przycupnęła na kamieniu.

Jej wzrok powędrował w dal, na spokojne, lśniące w promieniach zachodzącego słońca morze. Pomyślała o syrenach, o których zwykle mówił Gavin przekomarszając się z nią.

Morze! Był to jej wróg czy przyjaciel? Zabrał Gavina, pierwszego mężczyznę, którego pokochała, to prawda, ale potem zawarła z nim przymierze, gdy fale wyrzuciły właśnie tutaj na brzeg przystojnego rosnącego blondyna. Tego też miała stracić, właściwie już straciła, tym razem jednak morze nie było temu winne.

Opasawszy rękoma kolana, z zamkniętymi oczami na

próżno usiłowała uporać się z natłokiem smutnych myśli. Gdybyż go nigdy nie poznała! Oszczędziłaby sobie wtedy tego okropnego bólu. Ale tak nie wolno było myśleć. Przeżyła z Peterem kilka cudownych tygodni. Straszłą cenę płaciła teraz za to, lecz mimo wszystko nigdy by z tego nie zrezygnowała.

Pograżona w rozmyślaniach, nie dostrzegła postaci brnącej w piasku plaży ku skale, na której siedziała. Dopiero gdy padł na nią cień i czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu, drgnęła przerażona.

— Celio! — Ten głos znała aż za dobrze.

Zaskoczona podniosła głowę, pewna, że to wyobraźnia sobie z niej zakpiła. Ale jednak nie — to była rzeczywistość. Przed nią stał Peter!

Już miała się poderwać, oniemiała z wrażenia, z bijącym gwałtownie sercem, lecz w tym momencie uświadomiła sobie, że prawdopodobnie przyszedł się tylko pożegnać. Otarła łzy z policzków i spróbowała się uśmiechnąć.

— Peterze.... — Jej głos przeszedł w łkanie. Cóż mu miała powiedzieć? Stał przed nią w milczeniu. Trwało to długą chwilę. — Więc wróciła ci pamięć? — wykrztusiła wreszcie, by coś powiedzieć.

— Tak. Przypomniałem sobie nawet więcej, niżbym sobie tego życzył. Przy okazji stwierdziłem, dlaczego niezbyt mi zależało na jej odzyskaniu.

Celia wpatrywała się w niego zdumiona, nic nie rozumiejąc.

— Ten sztorm... — rzekła bezradnie. — Być może to maszt uderzył cię w głowę.

— Nie chodzi o sztorm, chodzi o Lydię.

— Lydię? — Dalej nic z tego nie rozumiała. — Przecież... przecież płynąłeś na wasz ślub, gdy zdarzył się ten wypadek.

Nie patrzył na nią, przyglądał się w zamyśleniu powierzchni morza. Jego głos był spokojny.

— Tak, płynąłem. Ale tak naprawdę wcale mi się tam

nie spieszyło, być może nawet podświadomie szukałem ryzyka.

Na moment przerwał, zapatrzony w fale.

— Zdążyłaś się już nieco dowiedzieć o moim wcześniejszym życiu — ciągnął. — Moi rodzice, przejąwszy odlewnie dziadka, nie mieli zamiaru ich dalej prowadzić. Pieniądz był dla nich wszystkim, tak więc sprzedali całe imperium, które on z takim trudem zbudował. To była zresztą robota ojca. Zawsze potrafił przekonać moją matkę, gdy chciał dopiąć swego. Życie traktował jako nieustanną zabawę, gdzie jedna przyjemność goni drugą. Im ich więcej, tym lepiej. Czegóż by nie? Mogliśmy sobie na to pozwolić!

Milczał chwilę, jak gdyby szukając odpowiednich słów dla wyrażenia tego, co się w nim rozgrywało. Patrzył teraz w głąb siebie, tak jak to robi człowiek, który przywołuje przeszłość z pamięci.

— Nie powiem, żeby takie życie budziło we mnie wstręt, to byłaby nieprawda, lecz kiedy stałem naprzeciw dziadka, czułem się dziwnie nieswojo. Nie potrzebowałem nic mówić, i tak wiedziałem, że jest ze mnie niezadowolony. W jego oczach byłem nic niewartym złotym młodzieńcem. Nie umiałem dociec, czemu tak na mnie patrzył... dopóki nie trafiłem do was na farmę.

— Ale przecież byłeś jego jedynym wnukiem. Musiał być z ciebie dumny.

— Niestety, nie okazałem się takim wnukiem, jakiego by sobie życzył. Mój dziadek przez całe życie ciężko pracował, nawet wtedy, gdy był już superbogatym człowiekiem i wcale nie musiał tego robić. Gdyby nie wylew krwi do mózgu, prawdopodobnie dziś jeszcze siedziałby od świtu do nocy w swym gabinecie. Pierwszym wielkim rozczarowaniem był dla niego zięć, który chciał tylko używać życia, lecz ostatecznie go dobiło, gdy spostrzegł, że ja też poszedłem w ślady ojca. Tak naprawdę zacząłem się zastanawiać nad życiem dopiero wtedy, gdy w kata-

strefie lotniczej zginęli moi rodzice. Wydało mi się ono bez sensu, lecz tłumaczyłem to sobie przygnębiającym nastrojem chwili.

Zerwał się nie mogąc usiedzieć na miejscu.

— Wszyscy mi zazdrościli, wszyscy — rzucił gwałtownie. — Młody mężczyzna z taką górą pieniędzy, a do tego jeszcze zaręczony z Lydią Burke z Bostonu, pochodząca z jednej z najstarszych rodzin w kraju... Nie pojmowałem, skąd ta wewnętrzna rozterka, ale im bardziej zbliżał się termin ślubu, tym większe było we mnie pragnienie ucieczki od tego wszystkiego. Jednym z powodów, dla których mimo niepewnej pogody wypuściłem się na morze, była chęć przemyślenia tego wszystkiego. A potem — Peter uśmiechnął się do Celi — potem obudziłem się w małym pokoju. Niczego nie mogłem sobie przypomnieć, a jednocześnie miałem wrażenie, że nigdy dotąd jeszcze nie byłem tak szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy, Celio. Wierzysz mi? Nauczyłem się pracować i wreszcie poczułem, że coś jestem wart. Teraz już wiem, co oznaczało spojrzenie dziadka...

Celia usiłowała nadążyć za tokiem jego myśli, przenieść się w jego świat ludzi nieprzyzwoicie bogatych.

— Ależ Peterze, po co masz pracować, skoro jesteś bogaty? Możesz przecieżyć...

— A jednak! — wybuchnął. — Chciałbym ciężko pracować, tak jak robiliśmy to we dwoje. Trwało długo, zanim sam siebie o tym przekonałem, a obawiam się, że w tym czasie nie byłem zbyt miły dla ciebie. Ale kiedy Lydia tak obrzydliwie mówiła o tobie i twojej rodzinie, oczekując, że ja z radością wsiądę do samochodu i z nią wyjadę... dopiero wtedy pojąłem, że tego nie chcę i nie zrobię.

Serce Celi zaczęło bić jak oszalone, lecz nie śmiała zadać pytania, które mogło przesądzić o wszystkim.

— Mówisz... chcesz przez to powiedzieć, że Lydia...

Peter wzruszył ramionami wskazując głową na szosę.

Podążyła za jego spojrzeniem, po czym oszołomiona spojrzała w jego śmiejące się oczy.

— Nie, Celio, naprawdę nie zamierzam za nią jechać. Po co, skoro tu mam dziewczynę, którą kocham?

Jeszcze nie mogła pojąć.

— Peterze... — wyjąkała z trudem. — Peterze, czy to znaczy, że...

Poczuła silne dłonie na swych ranionach.

— Celio, tej nocy kiedy wśród szalejącego sztormu usiłowałem się utrzymać na falach walcząc o życie, widziałem światło, światło z twojego okna. To światło dodawało mi siły. Resztę znasz. Chcę tu zostać z tobą. Wybudujemy sobie wielki dom, dla nas i dla naszych dzieci. Dzięki moim pieniądzom możemy urzeczywistnić to wszystko, o czym wujek Bert mógł tylko marzyć. Nie będą musieli sprzedawać farmy i do końca życia mogą pozostać w swym własnym domu.

Celia się rozplakała, tym razem jednak były to łzy szczęścia. Peter przytulił ją do siebie i zamknął jej usta delikatnym pocałunkiem. Teraz już na pewno wiedziała, że morze nie jest wrogiem. Morze przyniosło wielką miłość jej życia.